Cena--USA- $ 1-Pl -4000 zł • UK- 50 p- 3 Ruble



Pryzmat

• Pismo polskie nie tylko dla Polaków •

Mińsk 15. I. 1993
Numer siódmu jest fundowany przez przyjacela, który prosił o anonimowość

Wybryki niesławnych urzędasów

Jest to kardynalne zaniedbanie władz Białorusi, że nie zostali posłani na emerytury wszyscy urzędnicy do spraw wyznań i nadal zaśmiecają i zasmradzają swą obecnością proces demokratyzacji na Białorusi.

W listopadzie urzędnicy z Grodna postawili na ostrzu noża sprawę wywieszenia herbów Polski i Białorusi, oraz barw obu tych krajów w kościele pod wezwaniem Królowej Polski w Rohoźnicy.

Dali **ustne** ultimatum komitetowi kościelnemu: albo zdejmiecie te symbole albo wyrzucamy księdza z Białorusi.

Komietet zrobił błąd, że ustąpił. Oczywiście nie trzeba nikomu przypominać, że to działanie jest sprzeczne z Traktatem o dobrosąsiedzkich stosunkach między Polską, a Białorusią.

Ale to nie wszystko. W Radiu rejonowym w Mostach od paru lat z okazaji różnych świąt występowali lokalni prawosławni księża, i to kilkakrotniue.

Nikt z władz rejonowych w Mostach nie sprawdzał tych audycji- słowem nie było żadnej cenzury.

W grudniu u.r. Pan Ryszard Sałata prowadzący radio poprosił księdza Krzysztofa Karolewskiego z Rohoźnicy o nagranie audycji związanej z z tradycją i obyczajami świąt Bożego Narodzenia. W audycji brałą udział dziecęcy chór z Rohoźnicy, który odśpiewał cztery polskie kolędy. Takiej audycji związanej z katolickimi świętami Bożego Narodzenia jeszcze w tym rejonie nie było, mimo, że jest on bardzo polski i jest więcej katolików niż prawosławnych.

Program ten został nagrany 21 grudnia w studio w Mostach i był zapowiadany przez radio. Wiadomość ta szybko rozeszła się wśród wiernych i była z niecierpliwością oczekiwana. W dzień, przed nadaniem audycji Pan Antoni Bylicz, z-ca kierownika Urzędu Rejonowego, bez przesłuchania tej audycji i nie dając żadnej motywacji zabronił jej nadania.

Dziennikarz rozmowę z Panem Byliczem nagrał na taśmie magnetofonowej. Pan Bylicz nie tylko, że nie dał prawnej motywacji zakazu nadania audycj, ale jeszcze próbował straszyć redaktora.

Wierni w dzień Bożego Narodzenia, o godzinie, o której audycja miała mieć miejsce, na próżno czekali gdyż audycja nie została nadana.

Po świętach udały się dwie delegacje Związku Polaków na Białorusi do Pana Bylicza, z zapytaniem na podstawie jakiego prawa zakazał on nadania tej audycji.

Pan Bylicz nie tylko, nie dał im żadnego wytłumaczenia ale jeszcze delegacje obrażał, krzycząc na nich - **jakie wy Polaki, wy tylko spolszczeni Białorusini.**

To też jest udokumentowane zapisem na taśmie magnetofonowej.

Czy jest to dalszy przykład samowoli małych kacyków ? W Mińsku nikt nikomu audycje czy artykuły nie cenzuruje. Jest to sprawa redakcji co puszcza, czy zatrzymuje.

Tu jednak taki " wielki człowiek" nawet bez sprawdzenia co tam w tej audycji jest wydał samowolnie zakaz i ulotnił się. Wszelkie z nim rozmowy już 26 grudnia nie dały rezultatu i audycja w okresie świąt nie poszła w eter.

Jak mnie poinformowali wierni, to nie pierwszy wyskok Pana Bylicza. Jeszcze 4 lata temu chciał kościół w Strubnicy zamienić na muzeum, a gdy to się mu nie udało próbował go rozebrać. Sprzeciwiał się też jesienią 1990 roku otwarcia kościoła w Pieskach.

Jeśli wobec Pana Bylicz nie zostanie wyciągnięte konsekwencje służbowe za jego ostatnie wybryki to będzie to oznaczało, że działał w pełnuym porozumieniu z ewyższymi instancjami władzy, że to nie wyskok małego człowieczka z Mostów, a **celowa akcja sterowana** z Mińska.

W stolicy Białorusi udaje się, że wszystkio cacy puszcza kolędy po polsku i przemówieni apolskie biskupów, a wydaje się że w terenie z dala od wielkiego świata mali urzędnicy **mają polecenia** kopać katolików jak za dawnych dobrych lat komuny.

Alexander Pruszyński

PS: Jak ostatnbio dowiaduje się, ZPB z Mostów skierował protest w tej sprawie do najwyższych władz Białorusi z komią do Ambasady RP w Mińsku

Polski wkład w zwycięstwo w II Wojnie Światowej

Kiedyś, jeszcze z Polski, wysłałem do Kazachstanu książkę o walce polskich lotników w na Zachodzie.

Dostałem bardzo miły list z podziękowaniem i okazało się, że dla tamtejszych rodaków było zaskoczeniem, że polcy lotnicy walczyli nawet w Anglii i tam im wystawiono pomnik.

Nadal większość tutejszych rodaków nie ma pojęcie o polskim wkładzie w zwycięstwo Aliantów czyli koalicji antyhitlerowskiej.

Nie tylko walczyliśmy na wsystkich frontach od Norwegii, Francji, Egiptu, Libii, Włoch ale przyczyniliśmy się jeszcze innymi drogami do zwycięstwa.

Teraz o tym wspominam, a potem będziemy obszerniej o nich osobno pisać.

• Największym naszym osiągnęciem było odtworzenie niemieckiej maszyny do szyfrowania depesz radiowych. Operacja ta znana jest na Zachodzie pod mianem **Enigma** i opisana szeroko.

Model tej maszyny przekazano już 25 sierpnia 1939 roku Anglikom. Potem jeszcze polscy szyfranci dopracowali wszystkie dane do tego stopnia by na Zachodzie mogli odczytywać **każdą tajną depesze szyfrową Niemców**.

Dzięki Polakom można było też odczytywać tajne depesze Japończyków, którzy posługiwali się podobną maszyną na Dalekim Wschodzie.

Czy bez tego byłoby pewne zwycięstwa Aliantów. zarówno na Zachodzie jak i na Dalekim Wschodzie ?

Na marginesie tego warto podać nieznany fakt.

Z odczytania depesz niemieckich wyniknęło, że Mołotow latem 1942 roku wjechał na cały dzień 200 km na teren zajęty przez Niemców.

Jakie tam poszły rozmowy dotąd nie jest znane.

• Skonstruktowanie przez polskiego inżyniera w Anglii wykrywacza magnetycznego min.

Na pierwszych modelach tego urządzenia zastoosowanego przed bitwą o El Alamein w Libii był nawet napis:

" Polish Patent"

• Wywiad AK dostarczył Aliantom bardzo wiele ważnych informacji. Najważniejszymi było rozpoznanie przygotowania do wystrzelenia rakiet V1 i V2. Zdobyto nawet jeden egzemplarz takiej rakiety i przekazano główne jej części do Londynu samolotem, który specjalnie po nie przyleciał do Polski.

Dzięki temu zbombardowano wytwórnie tych rakiet w Penemunde koło Szczecina i opóźniono użycie tej broni o **dziewięć miesięcy.**

Operacja ta jest opisana w książce Martina Middlebrook-a, której tłumaczenie ukazało się w Warszawie pod tytułem : "Nalot Na Penemunde", W redakcji posiadamy tą książkę i możemy ją komuś udostępnić. **c.d. str 8**

Czy Litwa dokonała wyboru ?

Czwartego września, szesnaście miesięcy temu, po złamaniu puczu w Moskwie i przyznanie Litwie Niepodległości Litwini wzięli się ochoczo do Polaków.

Rozwiązali demokratycznie wybrane lokalne Rady Narodowe i wprowadzili Zarząd Komisaryczny na Wileńszczyźnie.

Związek Polaków na Litwie zwołał wtedy wiec w podwileńskim Niemenczynie.

Mimo, że Kurjer Wileński odmówił umieszczenia komunikatu o tym zebrało się tam z pięć tysiący rodaków.

Kluczowym było wystąpienie piszącego te słowa, który jako obywatel Kanady mógł otwarcie powiedzie to co zebrani mieli na sercu, a bali się powiedzie w obawie przed represjami.

Powiedziałem wtedy :

Panie Landsbergis, Pan i Litwa ma wybór, albo dacie tutejszym Polakom, to co ma mniejszość Szwedzka w Finlandii lub Polacy będą się domagali plebiscytu za przłączeniem Wileńszczyzny do Białorusi.

Jak bardzo me słowa trafiły w przekonanie zebranych były brawa i odśpiewanie mi Sto Lat.

Szesnaście miesięcy mija od tego momentu. Zachowanie Litwinów względem Polaków było od tego czasu coraz gorsze i nie zmienia się między innymi dlatego, że Polska kadzi Litwinom, którzy są przekonani, że każda podłość względem tamtejszych Polaków zostanie im "wynagrodzona".

Polska nie ma " Polityki Wschodniej". Nie jest to wina nie tyle Prezydenta czy Ministra Skubiszewskiego. To wina późno nawruconego komucha prof Bronisława Geremka.

Przez szsnaście miesięcy Prezydent Landsbergis i jego Rząd miał 500 dni do zrobienie czegoś dla Polaków.

A co zrobił ? Nic. Czy nastąpiły zmiany po wyborze nowego Parlamentu ?

Treaz czas na akcje, czas na wymuszenia na Litwie zorganizowania pod patronatem ONZ-u referendum.

Czas jest też zacząć pertraktować z Białorusią nad warunkami na jakich by Wileńszczy-zna włączyła by się do swego południowego sąsiada.

Alexander Pruszyński
Mińsk 4 stycznia 1993

PS: Litwa ma nowy Parlament i zapewne nowym Prezydentem będzie były I Sekretarz KC Kom Parti Litwy. Dajmy Mu sto dni.

Czy pokaże, że jest bardziej rozumny niż jego poprzednik Witold -Maluśki-Lansdsbergis

Dobrobyt i Demokracja

Deklaracja Programowa Kandydata na Prezydenta Republiki Białoruś

Chciałbym podziękować dziennikom : ***Gazecie Wyborczej, Izwiestia i Narodna Gazeta***, które opublikowały artykuły informujące swych czytelników, że pragnę ubiegać się o stanowisko Prezydenta Republiki Białoruś.

Odgadły one moją koncepcję brania czynnego udziału w życiu politycznym Białorusi, umocniły ją jeszcze i dodały dopingu, abym wystąpił z deklaracją ubiegania się o fotel Prezydenta Białorusi.

Pragnę też podziękować Pan Stanisławowi Tymińskiemu, który wykazał, że nieznany człowiek z dobrym programem, może zagrozić wielkim autorytetom i nawet dać przykładowe manto urzędującemu Premierowi.

Chce też podziękować Panu Leszkowi Moczulskiemu wodzowi Konfederacji Polski Niepodległej, który powiedział do mnie w czerwcu w 1981 roku:

- Nie jest ważne kto zdobędzie dla Polski Niepodległość, czy KPN, czy ktokolwiek ale ważne jest by tę Niepodległość zdobyć -

- Podobnie jest na Białorusi, nie ważne, kto ale, by na Białorusi zakwitł

dobrobyt i demokracja,

Ważne jest by rzeczywiście to nastąpiło.

W wyniku zmiany granic w Jałcie i Poczdamie mój dom rodzinny w Rohoźnicy koło Wołkowyska znalazł się na Białorusi, a nie w Polsce jak był do 1939 roku.

Zmiany jakie nastąpiły w 1989 r., umożliwiły mi, po prawie 17 latach odwiedzenir Polski., a potem stron rodzinnych.

To co ujrzałem, mimo wszystko wydało mi się **pozytywne** i postanowiłem w rodzinne strony, na Białoruś, powrócić na stałe,

O swej decyzji poinformowałem pewnego dostojnego gentelmena na Placu Czerwonym w Moskwie 8 maja 1991 roku. W rok potem wróciłem na stałe i stwoirzyłem w Mińsku własne pismo "Pryzmat".

Wracając, postanowiłem włączyć się całą siłą w odbudowę Białoruśi, kórej częścią jest ziemia mego dziadka i mój dom rodzinny w Rohoźnicy.

Okazało się, że nieświadomie robie to co chciał zrobić jeszcze przed wojną mój Ojcec Ksawery Pruszyński, który napisał w 1933 roku :

- jestem człowiekiem, który chce powrócić na Ukrainę, gdy tylko to będzie możliwe, gdy tylko to będzie można i doprawdy nie po to, by odebrać chłopom ziemię, ale dlatego, by wziąść najczynniejszy udział w życiu Ukrainy i całą siłą swej pracy, nabytej wiedzy, zdolności rzucić się we właściwym kierunku, by nawiązać tak silną współpracę narodów i państw, że nic nie byłoby w stanie jej rozerwać.

Nie jest to program, ale jest to wiara.

Mój Ojciec nie dożył czasów, gdy ten program mógł być realizowany. Jstem szczęśliwszy, takich czasów dożyłem, z tą różnicą, że ja jestem związany z Białorusią. a nie jak On z Ukrainą.

Zastanówmy się teraz, co jest najważniejsze dla mieszkańców dzisiejszej Białorusi - Białorusinów, Polaków, Rosjan czy Ukrainców ?

Najważnjesze jest, by krok po kroku życie ich było coraz lepsze, by na tej ziemi zakwitł

Dobrobyt i Demokracja.

Te dwa słowa postanawiam wziąść jako hasła mej kampanii wyborczej.

Będę szukał wszystkich dróg realizacji tych dwóch haseł, bo właśnie jest to, na co mieszkańcy tej ziemi czekają od bardzo, bardzo dawna.

Dziś jeszcze nie wiadomo kiedy nastąpią wybory nowego Prezydenta Białorusi, jakie będzie miał on prerogatywy, jaką władzę i jak On będzie wybrany, czy wogóle będzie taki urząd.

Jednak sam fakt, że ktoś staje do wyborów na Prezydenta powoduje, że tego człowieka będą inni słuchali lepiej, bardziej poważnie, niż gdyby ten sam człowiek mówił równie mądre i słuszne rzeczy jako osoba prywatna.

To jest prawdziwy powód, że staje teraz przed obywatelami Białorusi, bo robiąc to mogę przedstawić program, który jeśli ma sens, niech inni zechcą go " kupić", " przyswoić" a jeszcze lepiej udoskonalić i podać za swój, czy pod własną flagą przemycić i realizować.

Podejmując taką decyzję powoduje, że dopinguje innych do kandydowania i przedstawienia swych programów.

Walka programów udoskonali je. Ponad to znając, że jestem kandydatem pewni ludzie będą mogli zgłaszać się ze swymi pomysłami, często bardzo dobrymi, które nikt nie chciał dotąd słuchać. Ci ludzie pomogą mnie stworzyć naprawdę dobry i odpowiedni dla Białorusi program, ci ludzie pomogą mi stworzyć partię polityczną, która powinna się zywać:

Białoruś Dobrobytu i Demokracji

Jak mówił wiele lat tem Leszek Moczulski, istotne jest zdobycie przez Polskę Niepodległości.

Podobne znaczenie dla Białorusi, ma danie swym obywatelom

Dobrobytu i Demokracji

Ten co do tego doprowadzi zapisze swe nazwisko złotymi literami w historii Białorusi.

Podczas kampanii wyborczej Prezydenta Clintona jeden z dziennikarzy napisał, że by być Prezydentem jakiegoś państwa trzeba mieć trzy kwalifikacje :

- **mieć wizję dokąd ma zdążać to państwo**
- **być wiarygodnym**
- **potrafić, pogodzić sprzeczne interesy poszczególnych grup społecznych czy zawodowych**

Śmiem twierdzić, że spełniam te trzy kwalifikacje

Przez dwadzieścia lat mieszkałem w Kanadzie kraju uznanego przez Organizację Narodów Zjednoczonych za **najlepszą** demokrację w Świecie.

Ponad to Kanada ma jedną z naiwyższych stop życiowych, a w Polsce - Kanada to synonim

dobrobytu.

Jestem jedynym na Białorusi zajmującym się sprawami publicznymi, który z własnego doświadczenia wie, jak funkcjonuje państwo znane z

dobrobytu i demokracji

Wiem co warto z Kanady tu przynieść, a czego jednak nie należy kopiowa, bo w żadnym przypadku nie chciałbym, by Białoruś była dominowana przez **jakiekolwiek** państwo jak jest dominowana dziś Kanada przez USA.





Czy jestem wiarogodny ?

Dotąd nie złapano mnie na kłamstwie. Bardzo bym nie chciał, by coś takiego się stało. To co dotąd proponowałem, miało sens ale nie zostało przez obecne władze zrealizowane.

Mam też taką przewagę nad wszystkimi mymi potencjalnymi kandydatami, że nie musiałem jak, oni, deklamować komunityczne banaluki.

Najtrudniejszym zadaniem będzie jednak nie wygranie wyborów, ale pełnienie roli głowy państwa.

Od Prezydenta wymaga się nie tylko prowadzenia kraju, ale co najważniejsze pogodzenie, często przeciwstawnych interesów poszczególnych części społeczeństwa.

Przywódca pochodzący z jednej mniejszości narodowej, może łatwiej doprowadzić do ugody zawaśnionych stron i scementować państwo. Wie on , co danej narodowości p trzeba, a zarazem jako wódz całości zna granice ugo ly, co całość państwa może tej, czy innej grupie dać i co jeszcze, nie doprowadzić do bardziej poważnego kryzysu.

Tak właśnie postąpił Premier Trudeau w Kanadzie. Za jego kadencji wprowadzono politykę wielokulturowości, która wzmocniła Kanadę, a zarazem jako Francuz z Quebecu był w stanie zaspokoić żądanie Francuzów tak, by nie przeciwstawiali się władzom ogólnokanadyjskim.

Pierwszym elementem mego programu jest przekonanie obywateli, że są prawdziwe szanse podniesienia poziomu życia, że potrzeba im choć trochę optymizmu. Zrozumienia wreszcie, że nie można czekać na to, by Prezydent, Premier, Rząd czy wojewoda za nich myśleli. Jest wiele spraw, które Wielcy nigdy nie dojrzą, a widzący to poszczególni obywatele powinni usprawnić.

Dalej chcę się zająć sprawą budownictwa mieszkaniowego.

Ile dziś młodych par nie ma swego konta, ile młodych małżeństw mieszka z dziećmi u rodziców lub w jednym pokoju na "przeżyciu" w jakichś fabrycznych internatach ?

Wedle pobieżnych informacji 330 000!!!

Jest to zastraszające.

Dla tych ludzi dobrobyt, to po pierwsze uzyskanie przez nich własnych mieszkań.

Co więc proponuje :

Trzeba wszystkie mieszkania sprzedać TANIO ich lokatorom. Należy je rozsprzedać, podobnie jak zrobiła Premier Tchather w Angli z mieszkaniami w domach będących własnością rządu.

Ponieważ wartość rubla stale spada proponuje wyznaczyć cene mieszkań w dolarach. Kształtować ona powinna się :

- po $ 50 za mieszkanie jednopokojowe z kuchnią, $ 100 za dwupokojowe, $ 160 za trzypokojowe, mieszkania czteropopkojowe powinny kosztować $ 400, a pięciopokojowe $ 600.

Natomiast mieszkania w centrum Mińska znajdujące się do 300 metrów od lini istniejącej czy budowanej metra powinny być o 100 % droższe, bo mają oczywiście większą wartość.

Stawki te są bardzo niskie w stosunku do wartości mieszkań, ale są jednak wysokie w stosunku do zarobków lokatorów.

Dla części ludzi spłacenie nawet tak niskich stawek za mieszkanie będzie kłopotliwe. Dla nich można rozłożyć spłaty na cztery lata, ale wtedy wysokość spłaty zostanie podniesiona o 30%, by zachęcić każdego lokatora, aby nie zwlekał z wykupieniem mieszkania.

Kto zaś wykupione mieszkanie odprzeda w ciągu pięciu lat będzie musiał na rzecz funduszu mieszkaniowego wnieść opłatę:

- w wysokości 300% od sumy za jaką wykupił mieszkanie w przypadku mieszkań 1-3 pokojowych
- 500% w przypadku mieszkań 4-6 pokojowych.

Nie jest tak ważne, ile państwo teraz za nie dostanie, ale ważniejsze jest to, by umożliwić ludziom przejęcie tych mieszkań na własność i dbanie o nie jak o własne.

Od tej pory utworzone przez właścicieli mieszkań spółdzielnie mieszkaniowe przejmują administracje nad poszczególnymi domami i całymi osiedlami. Na ich barkach spoczną też oczywiście remonty i konserwacje domów. Nowe utworzone przez lokatorów spółdzielnie mieszkaniowe, powinny być spółdzielniami jednego czy kilku domów lub całych osiedli.

W ten sposób wreszcie będzie ktoś odpowiedzialny za stan utrzymania tych domów, ich konserwację i czystość.

Poszczególne spółdzielnie mieszkaniowe wyznaczą **same** czynsz za mieszkania, który będzie obejmował koszt oświetlenia, utrzymania czystości i konserwacji poszczególnych domów czy całych osiedli.

Ludzie, którzy nie wykupili swych mieszkań będą musieli ponosić te same koszty plus 50%.

Uzyskane fundusze ze sprzedaży mieszkań podzieliłbym na trzy części :

- jedną część środków przekazałbym radom miejskim na remonty ulic, chodników,
- drugą część przeznaczyłbym na pożyczki dla budujących nowe mieszkania,
- trzecią część zaś na sprowadzenie nowych technologii budowlanych z Zachodu, a zwłaszcza z Kanady.

W szeregu miastach, a zwłaszcza w Mińsku jest wiele domów, gdzie można by dobudować jedno czy dwa piętra. Szczególnie będzie to możliwe gdy sprowadzimy tanią i lekką technologię kanadyjską, która zdaje doskonale egzamin w klimacie podobnym do białaoruskiego

Oto elementy mego programu, za pare tygodni dam dalsze jego punkty.

Alexander Pruszyński • Mińsk • 12 stycznia 1993

Od wydawcy

Kpiny z Parlamentu

Rada Najwyższa uchwaliła Ustawę o Mniejszościach Narodowych. Gdy chcieli przedstawiciele Związku Polaków na Białorusi dostać ten dokument dowiedzieli się, że jest w " redakcji".

Jest to zadziwiające. Jacyś urzędnicy uzurpują sobie prawo do " korekty" uchwalonej przez parlament Ustawy.

W normalnym demokratycznym kraju, gdyby jakiś urzędnik usunął nawet jedną kropkę w takim dokumencie to by nie tylko wyleciał karnie z posady ale by miał sprawę sądową i odsiedział by sporo latek za fałszowanie prawa.

Białoruś to jeszcze nie zachodnia demokracja ale Panowie Posłowie powinni zwrócić na ten proceder uwagę bo to kpiny nie tylko z prawa ale Was osobiście.

PS: Ostatecznie okazało się, że tekst jest pełen wad i co najgorsze niezgodny z umowami międzynarodowymi, które Białoruś podpisała i ratyfikowała.

Kto ma to załatwić

Pietnastego grudnia podniesiono znów opłaty za rozmowy telefoniczne. Z Białorusi do Polski kosztuje już 145 ruble, do Litwy za, 70. Za rozmowy do Anglii, Francji i Zachodniej Europy płacimy dokładnie tyle samo.

Czy nie jest to jawna dyskryminacja kontaktów Białorusi z Polską?

Pytam się raz jeszcze. Potem będę tych co nie podejmą na ten temat żadnej akcji " głaskał" ?

Pole do współpracy czy walki o wpływy ?

Na polskim rynku działają chyba dotąd równolegle dwie mafie, byłego Sojuza i orginalna Sycylijsko-Zachodnia. Jedni i drudzu przekupują, handlują i załatwiają co tylko im się opłaca.

Czy doszło już do ich współpracy czy będą walki o podział wpływów ? Zapewne też włoska mafia będzie chciała wejść na rynek byłego Sajuza i co z tego wyniknie.

Granice ekumenizmu

W Moskwie pewien dobrze wykształcony młody Pop poczuł miętę do pewnej katoliczki. Dziewczyna była ładna, miła i nawet już " z przychówkiem". Wzieli ślub jak się patrzy, ale jej na prawosławie przechodzić się nie kwapiło.

To się wcale nie podobało prawosławnej hierarchi młodego żonkosia odstawiono od parafii by nieco skruszał, a raczej doprowadził żonę do skruszenia i przejęcia na " prawowitą wiarę".

Ale na tym nie koniec. Ponieważ Papież dla przechądzących na wiarę katolicką anglikańskich księży wprowadził dyspense od celibatu więc też ten Pop może przejść na katolicyzm i zostać księdzem. A prawosławnym będzie ...

Anastazja ciąg dalszy

Już od czterech lat brak prasy polskiej w Mińsku więc ciekawostki z Warszawy trafiają tu jak za dożbrych czasów przez ...Moskwę. Niezbyt miłująca mnie Gazeta Wyborcza napisała, że szykuje się walczyć o fotel Prezydenta Białorusi. Mineło dwa miesiące i ta wiadomość by nie dotarła na Białoruś gdyby ktoś mi " przyjazdny" nie podrzucił jej Izwiesti, z której już Narodna Gazeta nie miała trudności jej przepisania.

Teraz w Warszawie przeszła burza, a może mały cyklon, o którego początkach wspomnieliśmy parę miesięcy temu. Burza o nazwie Anastazja. Okazuje się, że panienka używająca tego pseudonimu nie tylko naciągała posłów na pożyczki ale też rozdzielała co badziej interesującym posłom swe wdzięki. Była przy tym neutrala, dawała swej d... bez zmrużenia oka byłym komuchom jak też "cnotliwym" chreśćjanom.

Potem znikneła i wzieła się do roboty. Przy pomocy trzeciorzędnego dziennikarza wydała swe pamiętniki, które zrobiły furorę. Wymienionych z nazwiska i imienia było tam sporo ale najgorzej wyszła na tym opinia o wszystkich posłach.

Niektórzy twierdzą , że ta dama była podstawiona. Jedni wskazują na KGB, inni obwinają to wywiad niemiecki, a inni izraelski Mosad, który w Polsce poczyna sobie jak we własnym grajdole.

Jaki z tego morał ? Posłowie też ludzie i jak na całym świecie chcą mieć jakieś rozrywki. Fakt jednak, że ta sprawa nie dotarła tutej ma jedną dobrą stronę. Nie przypomniano posłom, że i tu może się zjawić urocza Anastazja, będzie ochoczo dawała, a potem wyda książke i opisze z szczegółami jakie, który poseł jak działa w łóżku.

Niewinny Stalin

Przebywający na emigracji były oficer KGB używający pseudonimu Suworow ujawnił ostatnio, że Stalin zmasował nad Bugiem znaczne siły bo miał zamiar uderzyć na Niemcy dokładnie 6 lipca 1941 r.

Ta teza wydaje się być bardzo prawdopodobna, bo niepotrzebnie dużo było wojska nad granicą. Dzięki swemu atakowi Hitler pozbawił Stalina szansy zrobienia sobie ku-ku. Stalinowi jednak udało się zachować swe plany w tajemnicy by uchodzić, zwłaszcza na Zachodzie, jako niewiniontko napadnięte przez... szakala.

Sprawa obywatelstwa

Spotykam coraz więcej osób, które podobnie jak ja chcą przyjąć obywatelstwo białorusi, ale utrzymać swe dotychczasowe polskie. Coraz więcej jest mieszanych małżeństw polsko-białoruskich i podobnie rosyjsko-białoruskich. Ktoś kto żyje tu nie posiadając obywatelstwa jest w złym położeniu i nie wiąże go to z krajem, w który powinien wrastać z dnia na dzień. Wydaje się, że będzie trzeba wziąść się raze do obalania klauzuli jednego obywatelstwa, im wcześniej tym lepiej.

Równocześnie Zjazd Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich zaapelował do Prezydenta Lecha Wałęsy aby wszyscy Polacy, którzy mieli obywatelstwo polskie do 1939 roku i ich potomkowie potrzymali teraz jego potwierdzenie czyli polskie paszporty.

Co ciekawe ich koledzy, którzy mieli szczęście wyjść z Sajuza z Armią gen Andersa, a teraz mieszkają na Zachodzie dostają bez większych ceregieli polskie paszporty.

Warto poszukać

Napewno jeszcze w niejednym domu na Białorusi są gdzieś schowane stare przedrewolucyjne ruble papierowe. Są one sporo warte na Zachodzie. Te większe banknoty, zwłaszcza 500 rublówki z Katarzyną oprawiąne są w ramki i wieszane jako dekoracje, a inne są poprostu zbierane przez kolekcjonerów.

Cnota nie zaraża

Coraz więcej jest przypadków ludzi chorych na AIDS i coraz więcej pisze się na ten temat. Już jedst na świecie chorych 2 000 000. Szczególnie AIDS jest plagą w kilku krajach Afryki jak Malawi, Rwanda. Tanazia i Unganda. Tam przyczyni się ona niezadługo do gwałtownego spadku ludności.

Co się jednak nie pisze to, że 99% zarażeń następuje przez seks pozamałżeński. Warto by więc popularyzować hasło " cnota nie zaraża".

Dyskusja z analfabetą

Ostatnio trafiłem na młodego Białorusina, doskonale mówiącego po angielsku i zaczeła się rozmowa na temat problemów Polaków na Białorusi.

Gentelmen ów tchnął nienawiścią do księżu polskich i stwierdził, że 75 % katolików na Białorusi jest.... Białorusinami !!!

Nie wiem ilu jest katolików Białorusinówi ale 90% Białorusinów w Polsce jest Prawosławnymi. Jakim więc sposobem po tej stronie granicy są naraz katolikami w tak wysokim procencie ?

Potem zaproponował by Vatykan przysyłał księży z innych krajów i nie chciał uwieżyć, że tylko Polska jest exporterem księży. O istnieniu organizacji katolicjiej Opus Dei, która ma własne seminaria i wyjątkowo dużą ilość powołań wogóle nie słyszał. Proponował by przyjeżdżali kiąża z...Czechosłowacji i też nie wiedział, że tam jest równie źle, a sytuację ratują tam też książa z ...Polski.

Wreszcie powiedział, że braki księży na Białorusi uzupełni się przez szkolenia własnych w...Vatykanie, bo nie daj Boże w Polsce bo by się... spolonizowali.

Też pomysł. Ale księża katoliccy to nie nie Popi, których można wypuszczać do pracy po sześciomiesiącznych kursach. Na wykształcenia księdza trzeba **pięć-sześć lat,** a brak conajmniej 300 księży na Białorusi więc jakim cudem chce ten gentelmen te braki zapełnić ?

Ktoś powinien opracować zestaw danych z głównych państw katolickich, ilu jest katolików, ilu księży przypada na ilu wiernych, ilu księży kończy seminarium, i ilu skończyło w ciągu ostatnich lat.

Jest wiele trudności w dyskusji z takimi ludzmi. Po prostu nie mieli oni dostępu do olbrzymiej ilości informacji. Są w pewnej mierze informacyjnymi. analfabetami. Oczywiście nie jest to ich wina, nie oni postawili żelazną kurtynę między Wschodem, a Zachodem. Ale ta kurtyna stała tam lat czterdzieści dwa i swoje zrobiła. Niestety ci ludzie nie zdają sobie sprawy z tego jak wielki mają brak informacji, a ferują wyroki jak by byli Salomonami.

Dowiedziałem się też przy okazji, że Białorusinom w Polsce dzieje się krzywda. Dokładnie jaka nie powiedziano mi, same gołosłowia.

Ambasada RP mogła by dla takich informacyjnych analfabetów zorganizowała konferencje prasową i podać dane o szkolnictwie białoruskim w Polsce i o dotacjach jakie od 1957 roku płynęły na oprganizację i kulturę białoruską od władz polskich.

Niestety. Nie liczcie na to drodzy czytelnicy bo Ambasada RP boi się powiedzie słowa prawdy i ostro stanąć w obronie swoich, a potem będą się dziwili jak ch nie poważają w Mińsku.

Opiekanie Litwinów

Jak podało wileńskie pismo **Z Nad Willi** przebywała w Wilnie Pani Margeret Kępińska-Jacobsen, która była tam z ramienia Komitetu Helsińskiego w Danii.

Grupy Helsińskie z Europy Zachodniej, jest takich grup 21, jeżdżą po całej Europie Wschodniej i sprawdzają jak poszczególne kraje realizują swoje zobowiązania wynikłe z podpisania Aktu Końcowego Konferencji Współpracy i Bezpieczeństwa jaka odbyła się lat temu pietnaście w Helsinkach.

Grupa Helsińska w Danii jest zainteresowana dolą Polaków na Litwie. Szczególnie zaniepokojeni są oni tym co się stało 4 września 1991r czyli rozwiązaniem demokratycznie wybranych Rad Narodowych okręgów podwileńskich. Po tym co się stało wtedy Grupa Helsińska przygląda się uważnie temu co się dzieje na Litwie i wysyła odpowiednie sprawozdania do ONZ, Rady Europejskiej i innych Grup Helsińskich.

W wyniku tej akcji, oraz innych, między innymi, akcji Związku Polaków Litwa nie została przyjęta do Rady Europy, a Kanada nie dała Litwie żadnej pomocy gospodarczej.

Po okresie euforii przyszedł czas na zastanowienie się nad " demokratyczną Litwą". Wreszcie dochodzą do czołowych pism wieści o wymordowaniu przez Litwinów ponad 100 000 Żydów w Ponarach.

Pozostaje nam wyrazieć nadzieję, że na Białorusi będzie tak dobrze, iż niedługo zostanie uznana za najlepszą, najbardziej demokratyczną republikę byłegp Sajuza.

Logika

Odwiedziłem restauracje Wanda w Mińsku gdzie mają całkiem nieczytelny meniu i zaproponowałem zrobienie im czytelnego na własnym komputerze. Odpowiedziano, że niestety nie mają na to pieniędzy, bo są "firmą państwową".

Przy okazji zwróciłem im uwagę, że cudzoziemcy śmieją się z ich cen gdzie potrawa kosztuje często 300-400 rubli i ...17 kopiejek.

Dostałem odpowiedz, że takie są zarządzenia Ministerstwa Finansów, ma być dokładna kalkulacja.

Szkoda, że Ministerstwo Finansów zajmuje się takimi bzdurami, a nie pomyśli co zrobić by w drogich restauracjach przyzwoicie ludzi ... karmiono.

Właściwy gość ?

Ambasada RP w Mińsku fetowała ostatnio Pana Sokrata Jankowiczsa z Białegostoku, który napisał w roku 1984 wspaniałą polszczyzną szalenie antypolską książkę pt " Białoruś, Białoruś", która, jest rozpowszechniana na Białorusi przez Ambasadę RP i... Wspólnotę Polską.

Pan Jankowicz w swej książce wytykając Polakom co tylko może, zapomina, że Polacy tutejsi nie mieli w 1984 roku na Białorusi nie mieli wówczas nic. Ba chieli być tylko tak prześladowani jak Białorusini byli dotąd " prześldowani" " w Polsce.

Polowanie w Rosi

Anna Branicka-Wolska

fragment książki - Nie wysłane listy -

Polowanie, takie duże, dla warszawskich gości - było jednym z największych ewenementów naszego roskiego dzieciństwa. Małych polowań rodzinnych, administracyjnych było zawsze bez liku, ale nie braliśmy ich w rachubę, ponieważ nie zwalniało nas wtedy z lekcji i dni te były dla nas szare, powszednie - jak wszystkie inne. Jedyną ich oznaką była wieczorna kolacja z winem, brydż w salonie, a potem przez wiele dni zające w śmietanie na obiad i często szynka z dzika na przekąskę.

Wielkie polowanie odbywało się w Rosi raz do roku, jakoś po Trzech Królach, i trwało trzy lub cztery dni. Poprzedzało je wiele ważnych spraw: nie kończące się narady z nadleśniczym, panem Krojcerem, nadchodzenie ciężkich pak z Warszawy od Kuryluka czy Pakulskich, jazdy Henia do Wołkowyska, odświeżanie sukien przez zmarszczoną z przejęcia p. Jakubowską, wreszcie - przemeblowania w naszym małym domku tak, aby się goście jakoś mogli pomieścić przy stole i aby jakimś cudem powiększyć liczbę gościnnych pokoi. W tym celu z oficyny wyrzucano centralę telefoniczną wraz z .p. Sabinką. Grzegorz przenosił się na folwark, a dziewczęta musiały się zmieścić w jednym pokoju. Pachniało wszędzie porządkiem, czystością i miętą z macierzanką, które - ususzone przez Nianię - leżały w małych saszetkach po szufladach i szafach. Wuj Totek i ciocia Dzidzia Szaszkiewiczowie byli nie do złapania. Jeździli po lasach, po leśniczówkach, układali kolejność miotów, sprawdzali tropy na śniegu, wydawali dyspozycje gajowym i leśniczym. W domu, po powrocie, zasiadali w kancelarii wuja i rozmawiali długo z furmanami i innymi roskimi ludźmi stojącymi przy biurku z czapkami w rękach.

- Dwie pary Noniusów - w żółtych saniach - na czwartą na kurier do Wołkowyska. Pojedzie Maciej i Alosza. Antoś Brussą i Edessą niech wyjedzie wieczorem na stację na osobowy z Warszawy. We wtorek gotowi musicie być na szóstą rano.

Furmani się kłaniali i wychodzili, cicho stawiając nogi obute w czarne filcowe walonki. Oni także lubili polowania.

Wieczorem w poniedziałek zaczynał się ruch już na dobre. Przebierano nas w granatowe sukienki, które przy wycięciu miały wyhaftowane czerwone kropki i kazano wypatrywać przez okno sieni - czy jadą. Przejęte swoją misją rozpłaszczałyśmy nosy o szybę, nasłuchiwałyśmy uważnie. Później jakiś czarny cień majaczył na końcu lipowej alei i dzwonki u sań dźwięczały coraz głośniej. Podnosiłyśmy wielki hałas. Wtedy Mama wychodziła do przedpokoju, a Henio z kagankiem wybiegał przed dom, za bramkę. Pędzono nas do pokoju, bo będzie straszny przeciąg, ale wciskałyśmy się za szaragi, tam nie będzie wiało. Przez uchylone drzwi wpadał zimny powiew z dworu, niósł parskanie koni, stukot kopyt o zmarzłą drugę i głosy gości:

- Tam pod baranicą jest jeszcze neseser, proszę go wyjąć.

- Ja sam wezmę sztucer.

Po stopniach ganku stukały grube buty, skrzypiały drzwi. W progu ukazywały się ciemne, wielkie, ośnieżone postacie. - Dzień dobry, hrabino. - Ściągali z głów futrzane czapki, otrzepywali biały puch z kołnierzy, tupali głośno. - Ależ mróz dzisiaj. Śnieżyca. Przed lustrem poprawiali włsy i zacierając ręce przechodzili do salonu. Wołała nas wtedy Mama, byśmy się witały, kazała podawać przekąskę. W drzwiach wypychałyśmy jedna drugą: idź ty pierwsza. Zawsze niemiło jest wejść do salonu, gdy jest tam tyle obcych osób. Wchodziłyśmy jedna za drugą, czerwone i zawstydzone. Podawałyśmy ręce tym obcym sykownym panom. Uśmiechali się do nas serdecznie i długo potrząsali naszymi dłońmi. Ich ręce były duże i zimne od mrozu. Major Jurgielewicz tęgi, wysoki, czarny, wielki nasz przyjaciel od najmłodszych lat, przynosił z przedpokoju ogromne paczki. - To moje trofea z polowań afrykańskich. - Razem z nim na kanapie rozwiązywałyśmy kolorowe sznurki i rozpakowywałyśmy tekturowe pudełka z nalepką "E.Wedel". W środku na papierowym zielonym sianku leżały dzikie zwierzęta z czekolady: słon, lew, tygrys. Owinięte w złote papierki. Byłyśmy uszczęśliwione i nosiłyśmy się z tymi darami przez cały długi wieczór.

Teraz przed domem znowu zaźwięczały dzwonki. To przyjechali goście z osobowego pociągu. W ciężkich dachach do ziemi, w sztywnych burkach i grubych bundach - ledwo mogli przecisnąć się przez wąskie drzwi. Wuj Stach Rey całował nas w policzki, drapiąc wąsami, wuj Papcio Cegliński witał się z Mamą, Zygmunt wieszał strzelbę na kołku, a coraz nowi ośnieżeni goście zjawiali się w progu. Stojąc w drzwiach od salonu wypatrywałyśmy kogoś jednego, na którego przyjazd cieszyłyśmy się najwięcej. Już byli bracia Korolkiewiczowie, Zbych i Ziutek, już był wuj Karol Potocki, wujowie Brzozowscy, już uściskaliśmy wuja Stacha Potockiego, już witaliśmy prezesa Staniszewskiego, p. Brenstjerna. Już p. Żaboklicki według obyczaju pocałował nas w najmniejsze paluszki - a jego wciąż nie widać. Wreszcie wszedł. Podniosłyśmy wielki wrzask radości: - Maluś! Maluś! - Jeszcze w lisiurze i w czapie futrzanej na głowie, odłożywszy tylko strzelbę - brał nas w ramiona, podnosił do góry i całował serdecznie. Był naszym ukochanym młodym wujem, w naszych sercach zajmował najpierwsze miejsce. Jego brata Andrzeja witałyśmy też serdecznie. O, będziemy na pewno wieczorami śpiewać - tak jak zawsze - gdy do nas przyjeżdżali.

W salonie zrobiło się gęsto, a jeszcze wielu gości brakowało. Część była już u cioci Dzidźki, a my oczekiwaliśmy jeszcze wojewody Kościałkowskiego i wuja Andrzeja Tyszkiewicza, który miał przyjechać nocnym wileńskim pociągiem. Panowie palili papierosy, fajki i pili starkę z cieniutkich kieliszków. My roznosiłyśmy na tacy kanapki i doradzałyśmy: - Najlepsze są z kawiorem. A może te z grzybkiem? Myśmy jesienią same je zbierały. - Potem lśniącą, wielką limuzyną zajechał przed ganek wojewoda. Auto miało łańcuchy na kołach, a mimo to nasz gość miał ciężką podróż. Strzelec w zielonym mundurze wniósł do sieni jego strzelby, neseser cały w hotelowych nalepkach i ciężką pakę z nabojami. Gdy wojewoda dogonił wszystkich liczbą zjedzonych kanapek - przechodziliśmy do jadalnego na kolację. Przy długim stole mieścili się wszyscy dzięki temu, że stał w Mamy pokoju, zamienionym w te dni na jadalnię.

Siedziałam naprzeciw Malusia, wpatrzona w niego jak w tęczę, i słuchałam, jak opowiadał wesoło o Krakowie, znajomych i uniwersytecie. Onieśmielały nas te dwa długie szeregi panów z dwu stron stołu, ale dodawały otuchy miłe żarty i uśmiechy. Po kolacji roznosiłyśmy kawę w maleńkich filiżaneczkach na wysokich nóżkach, częstowałyśmy czekoladkami, które przywieźli Mamie generałowie z Warszawy. Później przychodził wuj Totek i zaczynała się rozmowa o jutrzejszym polowaniu.

- Więc jaki rewir bierzemy jutro? Lisy pewne? Jak z dzikami? Czy są wilki?

- Były wczoraj w Kościeszkowskim Gaju. Bajer ugania się za nimi ... Może ...

Później wyganiano nas z salonu. - Musiecie się wyspać, jutro długi dzień was czeka. - Panowie także nie siedzieli do późna. Rozchodzili się do swoich pokoi, by nabrać sił na jutro i odpocząć po podróży.

Rano budził nas błysk lampy naftowej padający przez uchylone drzwi z pokoju Mamy. Świt był późny i przy świetle trzeba się było ubierać. W całym domu rozbrzmiewały szybkie kroki, krzątanina, głosy. Zrywałyśmy się z łóżek co prędzej. Dziś nie było przykro wyłazić spod ciepłej kołdry. Emocja i radość zwyciężały senność. Wkładałyśmy wełniane, długie pończochy, szare "jupeculotte", swetry grube, zapinane pod szyją. Potem biegłyśmy do jadalnego, gdzie już gotowe było śniadanie i goście zaczynali się schodzić. Witali się z Mamą, zapewniali, że spało im się świetnie, i chwalili cudowną pogodę. Byli już wszyscy w myśliwskich strojach: irchowe wiatrówki, futrzane kamizelki, zielone grube swetry, pumpy, kapce lub buty wysokie, sznurowane. Jedliśmy jajka, wędliny, bułki, gorące parówki z musztardą, sery i świeży, pyszny graham - chlubę starego Grzegorza. Maluś jadł za dwóch i namawiał, bym szła w jego ślady. - Zobaczysz, jaka będziesz głodna już po pierwszym miocie, - Później drzwi od sieni otwierały się szeroko i stawał w nich wujek Totek. Był w brązowym futrze, w "klubowej" czapce, z zarękawkiem wiszącym na rzemieniu. - Dzień dobry! - wołał od progu. Równocześnie rozlegał się donośny głos pobudki granej na zakręconym myśliwskim rogu. - Prosimy do koni - czas jechać.

Zrywali się wszyscy od stołu, gwar się robił wielki, w sieni - tłok, szczęk broni, wołania na strzelców. Panowie wciągali futra, dachy, krzątała się służba podając naboje, czapki, zarękawki. Przed domem chór dzwonków, stukot kopyt. Zajeżdżały sanie jedne za drugimi - cały korowód. Gajowy na koniu komenderował furmanami i ustawiał ich szeregiem. Konie denerwowały się, nie chciały spokojnie stać, parskały. Już dawno nie były w takiej liczbie.

Kolejno sanie podjeżdżały pod ganek. Do pierwszych, szerokich, wygodnych wsiadła Mama z wojewodą i my trzy w zielonych naszych długich szubach. Henio okrywał nogi wielkim lisim futrem, a Marysię, siedzącą na koźle, obwiązywał głębokim "fusakiem". Ruszyliśmy ostro lipową aleją. Maciej powoził stojąc i mocno trzymał rzemienie lejc. Nie potrzebował bata. Konie rwały i trzeba było silnych rąk, by utrzymać je w cuglach. Za nami jechały rozdzwonione sanie, w których wśród poszystych, wysokich kołnierzy widać było twarze cioci Żunki, wuja Stacha, generała Głuchowskiego. Dalej - p. Brenstjerna, generała Piskora, i p. Staniszewskiego - okutanych w dachy. Dalej Andrzeja Potockiego. Ceglińskich, wuja Władka Dynowskiego, majora Jurgielewicza i całą masę postaci siedzących nieruchomo w niskich, śmigłych saniach. Furmani wszyscy stali, rozstawiwszy szeroko nogi w swoich czarnych kożuchach, przepasanych rzemieniami, w barankowych czapkach i czarnych walonkach.

Konie gnały jak wicher, rzucając za siebie twarde kule śniegu, ubite w kształt kopyt. Ludzie z szarych domków naszego miasteczka wylegli na ulicę, by się nam przypatrzyć. Siostry Romańczukówny mignęły wychylone z okna, praczka Kulikowska skłoniła się nisko. Żydzi z małych sklepików wybiegali na ganki i patrzyli za nami otwierając usta. W jednej chwili minęliśmy miasteczko i wpadliśmy na pola białe, ciche, rozległe. Jechaliśmy do Sidorowszczyzny - to bardzo daleko. Koło Skrzybowa zwolniliśmy. Sanie lekkie, ale śnieg głęboki - koni nie można zmęczyć. Wojewoda rozglądał się dookoła i zachwycał widokiem okolicy. Mówił, że mu miło wyrwać się na parę dni z biura i urzędów, odetchnąć dobrym powietrzem. Pytał o stosunki w Rosi, o ludność, o majątek, przekomarzał się z nami i opowiadał o figlach swego syna w szkole. Bardzośmy go lubiły, a najwięcej Marysia, która z nim zwykle stała na stanowiskach.

Jechaliśmy długo, długo przez białe pola po kopnym śniegu. Mijaliśmy wioski, pełne rumianych dzieci w kożuchach i kudłatych kundli. Widocznie były z daleka czerwone dachy Kościeszek i ciemna linia lasów na roziskrzonym słońcem horyzoncie. Byliśmy upojeni tą cudowną jazdą, rześkim, ostrym mrozem, widokiem przepastnych zasp. Przed słońcem, skrzącym się w kryształkach śniegu - mrużylismy oczy.

Nagle Maciej wstrzymał konie i podniosłszy bat wysoko zatrzymał całą kawałkadę. Wyskoczył z sań i podszedł do koni. Trzeba zdjąc dzwonki od uprzęży, wjeżdamy zaraz do lasu. Wszyscy furmani zrobili to samo i chowali dzwięczne janczarki pod kozły sań. Teraz sunęlismy cicho, prawie bezszelestnie - jak orszak widm z jakiejs bajki. Mysliwi się ożywali, rozpinali futerały strzelb i patrzyli uważnie na pole. Tropów moc. Dobra nasza! Wjechalismy do lasu. Godne sosny stały zwartym tłumem, witały nas szumem gałęzi. Maciej popędził konie, już widać było grupę ludzi, zielone mundury. Trzeba zajechać z paradą. Na nasz widok gajowi przyłożyli rogi do ust i donosnie, głosno zagrali fanfarę Branickich - jak zawsze na rozpoczęcie polowania. Stanęlismy. Spod futer gramolililismy się z sań,

Pan Krojcer podszedł do Mamy i po wojskowemu - jak żołnierz przed dowodcą - wyprężył się i stanął na bacznosc. Gajowi stali rowniez wyprężeni w kształt wielkiej podkowy. Pan Krojcer meldował, że opolowane będą takie, a takie rewiry, że nagonki jest tyle a tyle, a prowadzącym polowanie jest on, nadleśniczy Krojcer. Później schodzili się wszyscy do niego brązowozielonym myśliwskim tłumem i każdy o coś pytał. Wuj Totek tymczasem wyciągnął z torby kartki z numerami stanowisk. - No, panowie, loteryjka! - Wyciągali wszyscy po kolei białe sztywne kartki i czytali wypisane na nich numery stanowisk. Potem pan Krojcer dosiadał swego gniadego wierzchowca i zapraszał myśliwych do sań.

Wsuwaliśmy się znowu między dachy i lisiury i jechaliśmy leśnymi drogami za p. Krojcerem,

kłusującym przodem. Nagonka już od chwili była rozstawiona. Pan Krojcer coraz to stawał z boku drogi przy koszu plecionym z gałęzi i wołał do mijających go sań: - Numer pierwszy ! Numer pierwszy! - Stawały jakieś konie i myśliwy w długim futrze gramolił się spod baranicy. Podbiegał wtedy i stawał przy nim chłopak, przydzielony mu do noszenia strzelby, naboi i pilnowania jego zajęcy. Łańcuch sań sunął dalej, przystając co chwila przy koszach. Wypatrywałam ciągle generała Piskora, a zobaczywszy go wyskakiwałam z sań i biegłam do niego. Uśmiechał się do mnie wesoło. - No, nie zapomniała o mnie moja maskotka! Czuję, że przyniesie mi dzisiaj dużo szczęścia. - Stawałam koło niego, a on zaraz sięgał do głębokiej kieszeni, gdzie szeleściły przyjemnie papierki. - Przywiozłem to, co lubi pani najwięcej. Czekoladki z likierem. Prawda, że znam już pani gusta? - Podawał mi na dłoni dużo złotych kul i sypał je w mój zarękawek. - Będziemy jeść teraz, bo potem musimy patrzeć, słuchać i uważać. Nawet papierkami nie wolno szeleścić, prawda, maskotko?

Kiwałam głową w futrzanej czapce i czy prędzej rozwijałam czekoladki.

Obok na stanowisku stała Marysia z p. Ziutkiem, dalej brnęła po zaspach za p. Brenstjernem, ledwo nadążając za jego wielkimi krokami. Potem rozlegała się trąbka, odpowiadała jej druga, trzecia, czwarta i robiło się cicho. Mój generał obciągnął na sobie futrzaną kurtkę, poprawił w dłoni strzelbę i szepnął; - Nagonka ruszyła. - Stałam bez ruchu, wpatrzona w las, i marzyłam, by przed generałem zobaczyć pierwszego zająca. Po chwili gdzieś daleko na linii huknął strzał, zaraz potem drugi i trzeci. P. Ziutek się złożył, a i my w tej chwili zobaczyliśmy jednocześnie zająca biegnącego wprost na nas długimi skokami. Generał się złożył, ja zatkałam uszy - huk, zapach prochu i szept. Jest. Leży! Potem kanonada zrobiła się wielka, strzelali wszyscy z wszystkich stron, a mój generał walił co chwila i nigdy nie pudłował. Byliśmy oboje rozognieni i przejęci, ze zmarszczonymi brwiami patrzyliśmy w las i słuchaliśmy ostrzegawczego trzasku suchych gałązek.

Żal mi było tych długouchych zajęcy, ale nie przyznawałam się do tego. To nie byłoby po myśliwsku. Potem coraz głośniejsze stawały się krzyki naganiaczy, klekot drewnianych kołatek i głuche uderzenia kijami o pnie zmarzniętych drzew. Generał nie strzelał już przed siebie. Przepuszczał zające przez linię i kropił do nich po drugiek stronie drogi. Potem naganiacze podnosili zające i taszczyli je za tylne nogi do stanowisk. Rzucali je w śnieg obok koszy i dzielili się uwagami - ale dostał! Cały łeb ma rozwalony! A temu łapę urwało, patrz. Pojeżdżały sanie i myśliwi skupiali się wokół nich. Opowiadali, ile kto zabił, kto miał lisa, kto spartaczył, a kto ma dzisiaj swój dobry dzień. Potem jechaliśmy drogą wzdłuż zdeptanych placyków koło stanowisk, na których pełno było rozrzuconych kolorowych gilz od naboi, a z boku w pokropionym farbą śniegu leżały zające, gdzienie gdzie lis. Myśliwi mijający się wołali jeden do drugiego. - No, jakże poszło? Ile macie? - Jechaliśmy kłusa na następny miot. Pan Krojcer poganiał furmanów: - Prędzej, prędzej!

Stawaliśmy znowu przy innym zielonym koszu i znowu jedliśmy czekoladki, potem generał strzelał zające, a ja je z dumą rachowałam na palcach: Sześć, siedem, dublet, dziewięć ... Już osłuchałam się ze strzałami i nie zatykałam uszu. Mrugałam tylko oczami, gdy huknął strzał tuż, tuż, i z przyjemnością wciągałam w nozdrza ostry zapach prochu. Przejeżdżaliśmy lub przechodziliśmy ze stanowiska na stanowisko, a w przerwach wołałyśmy do siebie z Marysią i Atką: - Ile twój ma? Mój już jedenaście. Mój piętnaście! - Miałyśmy szalone ambicje za swoich myśliwych i skakałyśmy sobie do oczu, gdy jedna drugiej powiedziała, że jej towarzysz spudłował.

Potem było śniadanie. Jechaliśmy na rozległą polanę, gdzie pośrodku płonęło ogromne ognisko. Dokoła w podkowę stał stół. zbity ze świeżych desek, a przy nim ławy z cienkich pni brzozowych. Służba domowa kręciła się wkoło kotłów i wyciągała z koszy cynowe talerze, kieliszki i sztyśce. Wszyscy myśliwi skupili się przy ogniu, nastawiając do ogrzania ręce, grzejąc plecy. Gwarno tu było i wesoło. Ogień strzelał wysoko, huczał wielki płomień, pachniał dym jałowcowy. Myśliwi zasiedli na ławach, a my razem z Heniem i Maciejem roznosiłyśmy kieliszki z nalewką i podawałyśmy bułki z szynką i pasztetem. Wszyscy jedli dużo i dużo pili, a i mnie dał Maluś spróbować trochę wódki. Potem rozdano talerze, na których dymiły zrazy z kaszą, a wreszcie w filiżankach roznosiłyśmy herbatę z czerwonym winem na rozgrzewkę i w koszach pomarańcze.

Trochę dalej na polanie obiadowała nagonka. Dostali też wódkę, dużo chleba i kiełbasy, a gajowi w trzecim kącie polany - jedli swój bigos.

Gdy wszyscy byli najedzeni, ogrzani i wypoczęci, p. Krojcer dawał sygnał. Podjeżdżały sanie, nagonka ruszała za gajowymi i myśliwi wstawali z brzozowej ławy. Teraz porzucałam mego generała dla Malusia. Nie miał cukierków w kieszeni , ale za to był wesoły, swój i miły, jak żaden inny z gości. Uczepiona jego długiego rękawa brnęłam w głębokim śniegu ze stanowiska na stanowisko, ciągle roześmiana, uszczęśliwiona i wesoła. Maluś gadał bez przerwy, opowiadał różne śmieszne historyjki, żartował i pozwalał mi nosić za sobą ciężką wielką strzelbę. Jeździłam saniami na jego kolanach, bo tłok był, a sanie wąskie. Trzymał mnie za ramiona, bym nie wypadła w zaspę wilkom na pożarcie, a nogi okrywał starannie baranicą. Dobrze było, przyjemnie, a nawet trochę za wesoło, bo głośnym śmiechem wypłoszyłam Malusiowi lisa. Nie mógł mi tego darować ani zapomnieć.

- No, Nutku, aleś mi, gałganie, szkodę wyrządził, no, no. - Groził mi palcem i robił marsa, ale się go nie bałam.

Później, gdy zmrok zapadał i w lesie robiło się szaro, wszyscy myśliwi zjeżdżali się na skraju lasu, gdzie oglądało się sztrekę: zwierzyna leżała na śniegu ułożona rzędami w jaskrawym świetle czterech wielkich kagańców. Gajowi stali w zwartym dwuszeregu, a pan Krojcer meldował Mamie ilość i jakość upolowanej zwierzyny. Potem dawał znak i wszyscy razem grali hymny: lisów, zajęcy, bażantów - każdą melodią ilustrując charakter danej zwierzyny. Ślicznie w ciszy leśnej brzmiały te tąbki myśliwskie, pięknie płonęły pochodnie i tajemniczo wyglądały w ich świetle sylwetki myśliwych, gajowych i długi pokot ubitej zwierzyny.

Potem naciągaliśmy dachy, burki i sadowiliśmy się w saniach otulając nogi baranicami. Ruszaliśmy do domu rzędem rozdzwonionych sań, cichą, białą drogą oświetlaną czerwonymi żagwiami pochodni, które wysoko uniesione w górę trzymali konni galopujący przy saniach. Żegnaliśmy czarny las do jutra i ciemny tłum naganiaczy sadowiących się hałaśliwie na saniach.

Jadąc nie rozmawialiśmy. Była cisza, tylko srebrzysty dźwięk tysiąca dzwonków, szelest płóz, sunących po śniegu i czasem krótki krzyk któregoś z furmanów: - Ej, lewo! Uwaga, zwolnij! - Było cudownie, baśniowo, nierealnie i z przykrością wjeżdżaliśmy między domy miasteczka i stawialiśmy przed domem. Potem z tupotem tłum myśliwych wchodził na ganek. W sieni zrzucali ciężkie futra i przechodzili do salonu, by rozgrzać się herbatą i rozchodzili się do swoich pokoi.

My też biegłyśmy do siebie i z przyjemnością zdejmowałyśmy grube ubrania. Potem przebrane już w aksamitne niebieskie sukienki szłyśmy za Mamą do salonu, by być "pod ręką na posyłki". W kryształowych miseczkach układałyśmy czekoladki, w srebrnych kubkach papierosy, przynosiłyśmy karty, kredki i bloczki brydżowe, rozstawiałyśmy popielniczki. Później, gdy na okrągłej lustrzanej tacy ustawione były smakowite maleńkie kanapki, gdy w karafkach czerwieniła się nalewka "cassis" - schodzili się goście - z domu, z oficyny i od Szaszkiewiczów - wszyscy czarni, uroczyści, odświętni, a wojskowi - strojni w ordery i z dzwoniącymi szablami u boku. Panie z sąsiedztwa i nasze domowe miały też śliczne suknie, piękną biżuterię, a chłopcy Szaszkiewiczowie granatowe ubranka z białymo kołnierzykami pod szyją, które nakładali tylko od "wielkiego dzwonu".

Obiad trwał długo. Gwar się wzmagał, to ucichał nagle, dzwoniły kieliszki, brzęczały talerze. Po obiedzie cały ożywiony czarny tłum przechodził do salonu i zasiadał wkoło czeczotkowego okrągłego stołu. Rozmowa naturalnie o polowaniu, o podjazdach, o ciągach i rykowiskach. Panowie perorowali z przejęciem, robiąc gwałtowne gesty, opowiadali o swych myśliwskich przygodach. Jak to "on paf, a ten już leży" itd.

Radio nastawiliśmy na Paryż, więc zrobiło się jeszcze weselej i głośniej. Lucienne Boyer śpiewała swoim przemiłym głosem: "A Paris dans chaque faubourg". Wieczór leciał szybko i równie szybko znikały z kryształowej miseczki wedlowskie czekoladki, do których myśmy się przysiadły. Wreszcie rozeszliśmy się do pokoi i była noc czarna, cicha, spokojna.

Na drugi dzień rano, wpółprzytomna, usłyszałam pod domem trąbkę gajowego, ale nie mogłam się

zdobyć na wyskoczenie z łóżka. Takie było ciepłe, miękkie i wygodne! Słyszałam, jak Marysia ubierała się prędko i tupała bosymi stopami, słyszałam, jak kręciła się służba po korytarzu i jak Mama wołała: - Macieju, podajcie już kawę. - Wiedziałam, że dziś znów polowanie, że dziki w Sznypowie, że już najwyższy czas wstawać, ale senność zwyciężyła i oczy uparcie nie chciały się otworzyć. Tak, za długo wczoraj siedziało się pod radiem na taborecie. Teraz sen panował niepodzielnie i zagłuszał hałasy wyruszających na łowy myśliwych.

Obudziłam się późno, chyba po dziesiątej. W domu było cicho i pusto. tylko z pokoju Mamy, z łóżka Atki dochodził jej równy, miarowy oddech. Też zaspała! To mnie pocieszyło. Zła byłam na siebie za to, że nie pojechałam, a jeszcze więcej na Nianię, że siłą nie wyrzuciła mnie spod kołdry. No trudno - przepadło.

Dzień ciągnął się strasznie wolno, leniwie, obie z Atką czekaliśmy wciąż siedząc w oknie - na powrót myśliwych. Jakże się im powiedzie? Ile dzików padnie? O zmroku już zadźwięczały dzwonki. Sanie zbliżały się lipową aleją. Wbiegłyśmy w sukienkach na ganek: - No, jak, komu dziś szczęście sprzyjało? - Marysia wołała zza bramki: - Dzików sześć padło! Lisów ze dwanaście. Było cudownie, żałujcie, śpiochy!

Rozeszli się wszyscy do pokoi, by się przebrać, bo potem mieliśmy iść na obiad do Szaszkiewiczów. Poszliśmy przez ciche pastwisko, rozkopaną w śniegu ścieżką pod gwiaździstym, jasnym niebem. Ze stajni remontowej dochodziło chrupanie owsa i parskanie. Przez uchylone ciężkie drzwi padała na śnieg czerwona smuga latarni. Biały domek wuja Totka błyszczał złotymi oknami. Weszliśmy do sieni, służący Oleś zdejmował futra, a Jerzy i Krzyś odbierali czapki gości. Jak małe paziki klękając rozpinali paniom śniegowce, ściągali ośnieżone kapce. Zawsze byli bardzo gościnni i usłużni. W salonie stały kandelabry i światło świec stwarzało miłe, srebrno-migotliwe oświetlenie. Na ścianie koło drzwi od sieni wisiała wielka głowa wilka zabitego przez ciocię Dzidźkę, a obok druga - trofeum dziesięcioletniego Krzysia - przeniesiona tu na dziś, z powodu święta, ze swego zwykłego miejsca nad jego małym łóżeczkiem. Dumny był Krzyś ze swego tryumfu myśliwskiego i z uśmiechem, po raz nie już który, opowiadał gościom, jak to było.

Potem Oleś stanąwszy w drzwiach oznajmił, że obiad podany ż, i tłum gości ruszył do jadalni. My z chłopcami biegłyśmy przez kredens do małego stołowego, bo przy stole nie było dość miejsca. Siedzieli tam już malcy z podwiązanymi pod bródkami wielkimi serwetkami wyszywanymi w cipusie i zajączki. Mem i Elżbietka karmiły je i popędzały: - Dziuniu, prędzej połykaj! Bobeniu, przecież to już nie gorące. Patrz, Mem dmucha. otwórz buzię.

Z dużego jadalnego dochodził gwar ożywionych rozmów, a z kredensu podniesione głosy służby, stkanie naczyń i talerzy. Oleś z wypiekami na twarzy stawiał przed nami półmiski, które wracały do dużego stołu. Kolorowe galaretki i zimne sałatki były rozrzucone, ale to nie przeszkadzało naszym apetytom.

Po obiedzie w salonie rozstawiono brydżowe stoliki. Siadaliśmy na poręczach foteli Mamy i Ciopeni i słuchaliśmy rozmów starszych przy okrągłym stole albo stojąc za plecami brydżystów patrzyliśmy w wachlarze rozłożonych kart. "Bez atu", "kontra", "szlem" - to brzmiało jakoś magicznie i przyciągało uwagę.

Potem wywoływał nas Oleś do sieni: - Henio już przyszedł do panny hrabianki.

Trudno, trzeba się było pożegnać w salonie i iść spać do domu. Niektórych gości już jutri nie zobaczymy. Większość wyjeżdża dziś nocnym pociągiem, który o dwunastej staje na naszej cichej stacyjce, pędząc z Wilna do Warszawy.

Następnego dnia dla pozostałych gości jest małe polowanie w Bobłowskiej Dąbrowie. Jeszcze dużo tam zajęcy i niejeden lis się znajdzie. Jedziemy wszystkie trzy. Nawet chłopcy Szaszkiewiczowie będą dziś strzelać stojąc na stanowiskach - jeden z Mamą, drugo z Papą. Jerzy, dumny jak paw, niesie na ramieniu swoją dwudziestkę,a Krzyś próbuje złożyć się z szesnastki. Ciężkie licho!

Dziś jest inny nastrój polowania. Nie ma ważnych warszawskich gości, nie ma generałów ze swymi zielonymi strzelcami, nie ma wojewody i jego lśniącej limuzyny ani tego tłumu naganiaczy i hymnu Branickich przed pierwszym miotem. Mniej gajowych, nie są dziś tak oficjalni, a za myśliwymi my - dzieci - mamy nosić torby z nabojami.

c.d. str 6

Rok 1919 - Bolszewicy czy Denikin ?

Fragment z kilku wywiadów udzielonych przez wybitnycyh przedowjennych polityków Mieczysławowi Pruszyńskiemu
Tekst zaczerpnięty z książki Mieczysława Pruszyńskiego - Oni

Z kolei rozmowa przechodzi na nowsze czasy, okres wojny polsko-bolszewickiej i traktatu z Rosją, w którym rozmówca nasz odegrał tak decydującą historyczną rolę. Przede wszystkim chcielibyśmy z tak autorytatywnego historycznie źródła zasięgnąć informacji, co do stanu rokowań polsko-bolszewickich w roku 1919, co do których źródła polskie i rosyjskie są wręcz sprzeczne. Formułujemy więc pytanie.

- Czy zdaniem pana ministra Polska zawarła rozjem z Rosją (kwiecień-grudzień 1919) by umożliwić jej zgniecenie armii białej?

- Słyszałem o tym już znacznie po 1920 roku, ale nigdy o prawdziwość tej wersji nie zapytałem Piłsudskiego, bo już wtedy się z nim nie stykałem. Mogę tylko powiedzieć, że gdyby ktoś mnie zapytał o zdanie w tej sprawie, odpowiedziałbym, że nie mamy powowód do popierania Denikina. Ten ostatni wysłał w roku 1919 do Warszawy kozackiego generała - nazwiska już sobie nie przypominam. Rozmawiałem wtedy z nim. Z rozmowy tej przekonałem się stanowczo, że ani Denikin ani Wrangel, ani nikt z białej armii nie zgodzi się na przyznanie Polsce dalszych granic na wschodzie poza Bug. Rewolucja nie nauczyła tych ludzi niczego.

O tym czy Marchlewski naprawdę przyjeżdżał wtedy do Polski i osobiście sprawę rozjemu z Piłsudskim w Belwederze omawiał - nie wiem.

I po chwili jeszcze minister dodaje:

- Gdy podpisywałem wespół z innymi delegatami preliminarz pokojowy w Rydze, powiedziałem do Dąbskiego:

"Podpisujemy w tej chwili wyrok śmierci na armię Wrangla". Ale musiała nam być bliższa Polska niż biała Rosja. Przypomina mi się jeszcze inny, związany z tym epizod. W czasie rokowań ryskich Joffe zapytał mnie, czym uzasadniamy nasz projekt granicy na Wołyniu. Odpowiedziałem, że wyłącznie wymaganiami strategicznymi. "Musimy mieć przewagę techniczną (kolej Równe - Sarny - Baranowicze), bo wy macie liczebną". Joffe mi na to po chwili wahania powiedział: "No dobrze, ale skąd my możemy wiedzieć, że gdy my ruszymy na Wrangla to wy na nas z tyłu nie uderzycie". Odpowiedziałem "o nieszczerość możecie nas podejrzewać, ale nie powinniście nas podejrzewać o głupotę. Jeśli wy nam przyznacie teraz granice których żądamy, to czyż opłaci się nam pomagać Wranglowi, by on je potem obalił". Uspokoiło to Joffego.

Doszliśmy już do traktatu ryskiego. Ryzykujemy pytanie.

- Czy zdaniem pana ministra Polska w traktacie ryskim mogła była uzyskać korzystniejszą granicę na wschodzie.

Chmura gniewu ukazuje się nagle na pogodnym dotychczas obliczu Stanisława Grabskiego. Mimo woli przypomina mi się kasztelan rogoziński i smutny los heretyka w jego ręku. Minister mówi zapalając się:

- Właściwie nie powinienem panu odpowiadać na to pytanie. Nie pamiętam, czy brat pański napisaliście niedawno - że dyskusja z Giertychem sprawę tę wyjaśniła. Zanadto młodzieńcze jest to pytanie! Wszyscy razem myślicie, że rząd ówczesny i Rada Obrony i naczelne dowództwo i delegacja pokojowa - jednym słowem cała Polska to była kupa niedołęgów i matołków. Całe nieszczęście Polski - ti że p. Giertych był wówczas za młody, by grać czynną rolę w naszym życiu państwowym. Bo on jeden by należycie ocenił sytuację. Śmieszna zarozumiałość. Wygraliśmy w 1920 roku kampanię, ale nie zniszczyliśmy żywej siły nieprzyjaciela i Polska była bardziej wyczerpana od Rosji. Trzeba było zawrzeć pokój koniecznie przed zimą. Przeciągaliśmy umyślnie rokowania jak najdłużej, by wojska
nasze posunęły się jak najdalej na wschód, ale dłużej tej gry prowadzić nie sposób było. A zima dałaby bolszewikom czas na zrekonstruowanie armii. I co najważniejsze - podczas zimy albo by bolszewicy pokonali Wrangla, albo Wrangel bolszewików. Tego ostatniego najbardziej się bałem. Bo w razie zwycięstwa Wrangla opuściłaby nas nawet Francja. Rosja "biała" - dla masy rentierów francuskich oznaczała zwrot carskich długów i procenty od posiadanych przez nich obligacji rosyjskich. Rosja "biała" byłaby bliższa sercu francuskiemu od Polski. Tylko od Rosji bolszewickiej mogliśmy wywalczyć uzyskane granice.

- Czy pan minister zechciałby nam jeszcze udzielić wyjaśnienia, dlaczego w publicystyce polskiej, pojawia się od czasu do czasu sprawa Mińska, z zaznaczeniem niechętnego jakoby stanowiska pana, odnośnie jego przyłączenia wówczas do Polski?

- Przyłączenia ziemi mińskiej do Polski nie uważałem mimo wszystko za rzecz wartą ani ryzykowania dłuższej wojny (boć go jeszcze nie mieliśmy) ani też ustępstw na innym odcinku. Etnograficznie uważałbym już nawet za ważniejsze ziemie na południu, Kamieniec, Płoskirów i Stary Konstantynów. A jeśli i od ich domagania się odstąpiliśmy - to dlatego, iż uważaliśmy za jeszcze ważniejsze dla nas ziemie na północy, Dzisnę i Wilejkę. One bowiem dawały nam wspólną granicę z Łotwą i odcinały Litwę od Rosji, a przez to umożliwiały nam wcielenie do Polski Wilna, rzecz niemożliwą w innych warunkach. Wraz z tym też Rosja w preliminarzu pokojowym uznała, że sprawa ziemi wileńskiej jest sporem wyłącznie polsko-litewskim, i w ten sposób zerwała de facto swój sojusz z Litwą. Zapewnienie w ten sposób inkorporacji ziemi wileńskiej, uważałem za wiele ważniejsze od zdobycia Mińska. choć latyfundia polskie były większe w Mińszczyźnie niż w ziemi wileńskiej. Przede wszystkim jednak zrozumiałem, że tylko odepchnięta od Bałtyku Rosja skieruje swą ekspancję na wschód i wcześniej czy później zerwie porozumienie z Niemcami. Oto dlaczego starałem się ze wszystkich sił o zyskanie dla Polski wspólnej granicy z Łotwą i oddzielnie spornej ziemi wileńskiej od Rosji. Moją to było przede wszystkim inicjatywą żądanie Dzisny i Wilejki, choć tam nie postała w kontrofensywie naszej jesiennej 1920 roku ani jedna jeszcze noga żołnierza polskiego. Przeprowadzenie tego żądania uważam za najlepszą bodaj rzecz, jaką mi się kiedykolwiek udało zrobić dla Polski.

W sprawie tajnej klauzuli o Petlurze

- Na zakończenie okresu traktatu ryskiego chcielibyśmy jeszcze prosić pana ministra o, wyjaśnienie sprawy tajnej klauzuli w traktacie, która miała zobowiązać Polskę do wydalenia atamana Petlury z granic Polski. Sprawa tej klauzuli spotyka się jednak do dziś dnia z kategorycznymi zaprzeczeniami niektórych kół.

- Nic o tym nie wiem.

- Niedawno jednak, panie ministrze, zapewniano nas równie kategorycznie, iż klauzula taka istniała, i opowiadano nam związane z nią, szczegóły ukrywania atamana przez szereg miesięcy w Polsce. Spodziewaliśmy się, iż potwierdzenie powyższego z drugiej strony przez pana profesora pozwoli nam ostatecznie ustalić prawdziwy stan faktyczny.

- Możliwe - odpowiedział na to Stanisław Grabski, - iż klauzula taka znalazła się w samym traktacie. Ja układałem i podpisałem wespół z delegacją Rady Obrony Państwa tylko preliminarz i zapewniam pana, iż w tej umowie podobnej klauzuli nie było.

*) A więc tu może leżał pretekst do niezrozumiałych oszczerstw szerzonych z pewnych kół politycznych w roku 1920 i później o "tajemnym połączeniu telefonicznym Belwederu z główną kwaterą wojsk sowieckich"?

Opewracja wahlarz

Na Białorusi Armia Krajowa przeprowadziła szereg akcji zbrojnych, które zorganizowane były na polecenia Anglików pod kryptonimemWahlarz.

Niestety piąty odcinek wahlarza w Mińsku wpadł. Mimo doskonałych prób wydobycie więzionych akowców, jeden ze strażników więziena wtajemniczony w akcje odbica zdradził i na marne poszły wszystkie wysiłki. O tej operacji pisze bard Ak Pan Chlebowki w książce Zagłada V Odcinka.

Polowanie w Rosi c.d.

Dumni ze swej roli chodzimy krok w krok za swymi mistrzami, a zawieszone przez ramię ciężkie torby kołyszą się w takt kroków. Nie opuszczam Malusia. **Miot za miotem mija.** hucza strzały, przeraźliwie **płaczą zające i krzyczą** ochrypli naganiacze. Kieszenie **pełne mam pustych**, zielonych i czerwonychh gilz, **które skrzętnie zbieram dla dzieci** folwarcznych. Bawią **się nimi jak wojskiem.**

Śniadanie jemy w gajówce Sajdy na skraju **Bobłowskiej Dąbrowy.** Pokoiki świecą czystością i **pachną rozsypaną na podłodze** jedliną. Ze ścian patrzą jaskrawe obrazki Matki Boskiej z Dzieciątkiem i Serce Pana Juzusa, a obok nich duża, sczerniała ślubna fotografia gajowego. Na stołach, na komodzie, na półkach - wszedzie - wyszywane śnieżnobiałe serwetki i sztuczne kwiaty w wazonie pośrodku stołu. Gajowy i jego rodzina wyporządzili swój domek niczym na Wielkanoc, a teraz zgromadzili się obok, w kuchni, i przez szparę zaglądają do nas. Oczy ich są ciekawe i pilne. To wielkie wydarzenie w ich szarym, monotonnym życiu. Siedzimy wszyscy przy stole, starsi popijają wódkę, pogryzamy kanapki i czekamy na bigos, który Grzegorz odgrzewa na małej kuchni Sajdy. Jest tu bardzo ciepło i przytulnie, a ławy okryte kilimami są miękkie niczym domowe fotele.

Po śniadaniu znowu las, cichy, ośnieżony, rozbrzmiewający strzałami. Znowu donośne trąbki i nasze okrzyki. - Jest! Leży! Dostał!

O zmierzchu, wracając do domu, mijaliśmy jadące wolno sanie ze zwierzyną. Na "szubienicy" za tylne nogi wiszą jedne koło drugich zające. Ich szeroko otwarte szklane oczy patrzą nieprzytomnie. Jest ich dużo, dużo i fornalskie kobyły ciągną je z wysiłkiem. Stary fornal Jadkowski musi często świstać batem.

W domu czeka nas przygotowana już zakąska pod dużą lampą z zielonym kloszem i miękkie fotele, w które tak miło się po dniu pełnym ruchu, mrozu i emocji. Dziś panowie się nie przebierają. Przy kolacji nastrój swobodny, więcej śmiechów, a mniej polityki. Potem do fortepianu siada Maluś, a Andrzej staje przy nim oparty o framugę okna. Będą śpiewać dumki ukraińskie, te, które wszyscy najwięcej lubimy. Śpiewają na dwa głosy, a my zasłuchani moglibyśmy tak siedzieć do rana. Po dumkach kolej na piosenki polskie, potem wojskowe, wreszcie francuskie. Teraz i nas zawołano do fortepianu. Ociągając się i wymawiając stajemy przy Andrzeju, naprzeciw Malusia i początkowo cicho, potem coraz głośniej chór cieniutkich głosów ciągnie: "Au claire de la lkune mon ami Pierrot ...", później inne, a w końcu przerywane wybuchami śmiechów "FrÈre Jacques". Trwa to długo, coraz to ktoś przypomina jakąś piosenkę i Jerzy uderza w klawisze. "Dziura w garnku, miły Romciu", "Smutna, smutna jest dola ma", "Gdzie płynie strumyk z wolna", a potem znowu od początku wszyscy razem: "Czowen", "Zirońki", "Czornyje huzary" i senne, powolne "Nad Prutom u łuzi".

Zegar aż za głośno wybija nocną godzinę, a w drzwiach staje Niania: - Spać, spać.

Tak się kończyło roskie wielkie polowanie, na które się czekało cały długi rok i które jeszcze dzisiaj wspomina się z przyjemnością.

Uwaga: Fanfara myśliwska Branickich była ułożona w Montresorze przez Augusta Leforda, strzelca Xawerego Branickiego, stryja mego dziada.

Nowy Dziennik Kijowski

Otrzymaliśmy przyjemną korespondencje. Życzenia Świąteczne od nowego polskiego pisma na Ukrainie wychodzącego pod nazwą Dziennik Kijowski.

Okazuje się, że jest to kontynuacja pisma istniejącego w Kijowie od 1906 roku. Otrzymaliśmy numer 4 wznowionego pisma. Nie pozostaje nam nic milszego jak złożyć gratulacje twórcom pisma i tym bardziej wyrusząć na Ukraine mając tam własne kontakty z rodakami.

Najciekawsze, że mówi się już też o stworzeniu polskiego pisma w...Moskwie. Tam bodaj od 1906 roku był tygodnik, a w czasie I Wojny Światowej nawet ten tygodnik przekształcono w...dziennik.

Są polskie pisma we Lwowie, w Wilnie, Magazyn Polski w Lidzie, Nad Niemnem w Grodnie i Pryzma w MInskut. **Może zorganizujemy spotkanie pism Poloni z całego świata ...w Mińsku ?**

Diana czyli życie z księciem z bajki

Renzja z książki Andrew Morton: Diana - historia prawdziwa

Książka pasjonująca, opowiadająca historię dziewczyny, która nim stała się kobietą została księżniczką. Historią kobiety, która przeżywszy swój życiowy dramat odnalażła swoje "ja".

Andrew Morton czołowy królewski pisarz-kronikarz, wspierany przez rodzinę oraz przyjaciół księżniczki Diany opisał prawdziwe jej życie, od chwili narodzin aż do jej małżeństwa z Księciem Karolem, następcą korony brytyjskiej, jej sukcesy i upadek. Autor korzystając z prywatnych zbiorów Diany przedstawił w jej fotografie od okresu jej dorastania aż do chwili obecnej. Książka ta - mam nadzieję ukaże się na półkach księgarń Białorusi.

Zawarto w tej książce prawdziwą historię życia Lady Diany. córki Frances Roche (córka czwartego barona Fermoy) oraz Johna Althorp - rodziców o długim szlacheckim rodowodzie. Po śmierci dziadka Diany - hrabiego Spencer - tytuł ten, jak również ogromnie zadłużone dobra przejął jej ojciec. Historia Diany kojarzy mi się z historią jej matki, która również nie mogła poradzić sobie sama z sobą w otoczeniu "woskowych figur" w kręgu rodziny męża. Hrabina Althorp opuściła męża, otrzymała rozwód, w następstwie czego odebrano jej dzieci, albowiem to ona odeszła do drugiego mężczyzny. Dzieci wzrastały; a było ich czworo: Sara, Jane, Diana i oczekiwany, zdrowo narodzony syn Charles (przed urodzeniem Diany zmarł na skutek wrodzonych wad po dziesięciu godzinach życia jej brat John).

Dzieci odebrane matce miały ciężkie życie, opiekunki ciągle zmieniały się, dzieciom przybywało stresów, co w konsekwencji prowadziło do niedomagań zdrowotnych (nota bene niedomagania te w trudnych okresach życia Diany ciągle ją prześladowały). Po cichym ślubie ojca z Raine - rozwiedzionej z hrabią Dartmouth, apodyktycznej : do końca nielubianej macochy stresy podlębiały się, co u dzieci powodowało nawrót choroby, zwanej bulimią. Diana wyrastała w cieniu swych starszych siostr i młodszego brata Charlsa, a byli od niej o wiele zdolniejsi - jako brzydkie kaczatko, miała jednak taką siłę przebicia, że w innych dziedzinach starała się być od nich lepsza, co w konsekwencji stało się dumą jej ojca - hrabiego Althorpa i dało jej miłość babki - hrabiny Spencer, Diana tak bardzo pokochała babkę, że twierdziła, iż babka jej opiekuje się nią zza grobu.

Nauki ścisłe zawsze były słabością Diany. Żeby nie pozostawać w tyle za swoim rodzeństwem starała się rozwijać: nauki humanistyczne, zdobywała nagrody w pływaniu, gdyby nie nazbyt wysoki wzrost 176 cm, to mogłaby zostać wspaniałą tancerką, tak perfekcyjnie starała się opanować sztukę tańca.

W trakcie nauki w wielu szkołach wiodło jej się różnie, ale zawsze starała się posiąść odpowiednią wiedzę, była otwarta dla ludzi, słabym pomagała, ciężko chorymi opiekowała się, pracowała również ażeby samodzielnie się utrzymać. To wszystko co było jej młodzieńczym przyzwyczajeniem odbiło się i odbija w jej życiu na królewskim dworze. Wszystkie młodzieńcze zapały i przyzwyczajenia realizowała na królewskim dworze, odwiedzała ośrodki dla ciężko chorych, organizowała nowe medyczne Ośrodki, organizowała charytatywną działalność na rzecz słabych, biednych i co najważniejsze na rzecz nieuleczalnie chorych, w tym oczywiście pomagała chorym na AIDS i organizowała dla nich ośrodki terapii.

Dorastając ubierała się skromnie, sama np: prasowała swoje dzinsy. Mając 17 lat zamieszkała z dala od rodziców w Londynie, mieszkając z przyjaciółkami, które note bene pozostały do końca wierne tej młodzieńczej przyjaźni, starała się stałe utrzymywać porządek w ich wspólnym mieszkaniu, a nierzadko też im usługiwała.

Dorastając ciągle czuła się brzydkim kaczątkiem i żałowała, że nie urodziła się synem.

Zaczęła rozkwitać w momencie pierwszego spotkania z księciem Karolem w 1979 roku, który to wówczas sympatyzował, czy jak mówi autor książki - romasował z siostrą Diany - Sarah. Spotkania Diany z Karolem były tak często komentowane i to nie zawsze przychylnie, że Diana tuż po ogłoszeniu zaręczyn znalazła siebie w stanie skrajnego wyczerpania i wówczas to coś jej powiedziało by wycofać się, niemniej jednak znalazła w sobie tyle siły by to przełamać i dała swemu przeznaczeniu wyzwanie, albowiem uczucie jej w stosunku do swego męża ciągle rosło, wierzyła w to, iż Karol pomoże jej, że będzie z nią tworzył jedność.

Tuż przed ślubem mit o szczęściu zachwiał się. Prasa zaczęła rozpisywać się o ciągle trwającym związku księcia Karola z byłą jego przyjaciółką Camilą Parker - Bowles, który to romans trwa zreszta do dzisiaj. Ślub odbył się 29 lipca 1981 r.

Czytając tę książkę będziecie razem z Dianą przeżywali jej szczęście, później strach, chorobę i złe przeczucia (miewała nadprzyrodzone wizje), a także rozpacz kobiety, matki ukochanych synów, których wychowuje w miłości, uczuciu ciepła rodzinnego, zrozumieniu choroby, śmierci bądź nieszczęść innych ludzi. Obserwujemy jej silną wolę dorastania do roli żony następcy tronu, włączenia się w życie na królewskim poziomie, a życie to łatwe nie jest. jej wcześniejsze wyobrażenie o życiu u boku wymarzonego księcia z bajki blednie, marzenie o szczęściu upada, nastały stresy, choroba i bojkot wszystkich tych, którzy wcześniej zachłystywali się jej osobą, jej dostojnością oraz pięknością. Stresy jakie przyszły w następstwie życia na królewskim dworze spowodowały u niej nawrót choroby zwanej bulimią (nieprzyjmowanie pokarmów - co w konsekwencji pozbawia organizm witamin i minerałów, powoduje niebezpieczne chudnięcie, a jeśli brak interwencji medycznej - śmierć).

Diana starała się, walczyła, dorównywała mężowi w obowiązkach etykietalnych, w pracach na rzecz innych, ale zawsze była przez męża niedoceniana - książę Karol nigdy nie widział w osobie swojej żony partnerki, pragnął zawsze by pozostawała w cieniu, traktował ją jak rywalkę, sukcesy jej nierzadko przypisywał sobie.

Prasa również przyczyniła się do tego, że stosunki między małżonkami zamiast poprawiać stale pogarszały się, albowiem mass-media zwykle atakowały księżnę Dianę, a to jeszcze bardziej rujnowało jej zdrowie. Niemniej jednak wrogiem nr 1 Diany była i jest kobieta, która odebrała jej męża i stworzyła w miejsce życia pełnego miłości, sukcesów - koszmar.

Pomimo w miarę przyjaznych stosunków z królową matką - Elżbietą II rodzina królewska nie pomaga Dianie w jej zmaganiach w odzyskaniu męża, a dzieciom ojca.

Monarchia brytyjska chciałaby pozostać w sztywnych, zimnych ramach, z daleka od świata zewnętrznego.

Żona następcy tronu brytyjskiego, księcia Karola - księżna Walii Diana nie chce trzymać się na uboczu, chce być czynna, chce pomagać, pragnie, by wszystkie jej osiągnięcia były doceniane tak samo, jak ona starała się doceniać sukcesy męża, jak doceniła również i to, że jej szwager książe Andrzej nie bacząc na utratę życia wziął udział w interwencji w konflikcie falklandzkim.

Księżna Diana żyje i najpewniej żyć będzie na zewnątrz. Podróżowała i będzie podróżować, będzie tam, gdzie jej zdaniem jest potrzebna, nie zapomniała bowiem o tym, co powiedziała jej w Rzymie siostry Teresy, a którą odwiedziła w trakcie jej ciężkiej choroby: ... "żeby zrozumieć cierpienia innych trzeba samemu cierpieć",,

Ta wizyta księżnej Diany w Rzymie była dla protestanckiej rodziny królewskiej skandalem nr 1, a przecież przyszłością jedności wszystkich ludzi na świecie jest połączenie wszystkich religii, bez względu na imię ich Boga, wszakże jest jeden Bóg, a tylko ma wiele imion, i póki tego nie zrozumiemy nie będzie wśród nas miłości, jedności, pokoju i nie zachowamy dla siebie miejsca, albowiem sami zniszczymy kolebkę ludzi - naszą Matkę Ziemię (przypowiedź autorki artykułu). Co nam czas przyniesie - nie wiadomo - póki co Diana walczy o odzyskanie męża, walczy o monarchię dla synów, walczy sama z sobą i o swoją prawdę, walka jest trudna ale księżna Diana nie poddaje się, a jej walka jest również (ja tak myślę) i naszą walką o to, by zachować wszelkie wartości człowieka zrodzonego na wzór i podobieństwo Boga.

W chwili obecnej można oczekiwać rozpadu, bądź tylko papierowego związku księcia Karola z Lady Dianą - księżną Walii, by mąż mógł zatrzymać koronę.

Marzenie o królewiczu z bajki i dozgonnym szczęściu - "żyli długo i szczęśliwie" w tym wypadku nie sprawdza się, albowiem marzenie to zbyt szybko przeistoczyło się w ból i cierpienie.



Autor napisał w swej książce - " ... krolowa i jej siostra Małgorzata były ostatnim pokoleniem odpornym na r z e c z y w i s t o ś ć" ..., i to jest prawda. Nasze czasy nie pozwalają odciąć się od rzeczywistości!

Danuta Rajda

P.S. Morał, jaki nasunął mi się po przeczytaniu tej książki jest jeden.

Monarchia brytyjska u progu 21 wieku jest już taką zmarzliną, że ludzie z t.zw. wyższych sfer, którzy dostają się w monarchistyczne kręgi wychowani otwarcie na życie i ból drugich - nie potrafią żyć tylko wyłącznie z etykietą na codzień, żyć czerpiąc korzyści z apanaży będąc otoczonymi zimnymi, z dala od świata i cierpienia drugich (maluczkich) figurami.

Wydaje mi się, że czas monarchistycznych "rządów", w tym wypadku w Wielkiej Brytanii dobiega końca. W ostatnich kilkudziesięciu latach rozpadło się wiele książęcych małżeństw, np:

1. małżeństwo księżniczki Małgorzaty - młodsza siostra krolowej
2. małżeństwo księżniczki Anny, która ostatnio wyszła ponownie za mąż sa adiutanta królowej
3. małżeństwo księcia Andrzeja z rudowłosą Fergi, przyjaciółką serdeczną Diany .

Zapewne ten przykład bardzo dopomógł Dianie w decyzji rozwiedzenia się z mężem co wedle prasy angielskiej ma nastąpić lada dzień, a dzieci ma oddać jemu w opiekę.

Polski wkład w zwycięstwo w II Wojnie Światowej c.d.

Pierwsze rakiety V1 spadły na Londyn w dniu 10 czerwca czyniąc niezwykłe spustoszenie ale było to już parę dni po inwazji na Francję.

Gdyby zaczeły padać w listopadzie 1943roku ta inwazja nie mogłaby mieć miejsca.

• Złapany przez Niemców jesienią 1940 roku we Francji polski oficer, szef tamtejszej siatki polskiej wywiadowczej udał, że przeszedł na stronę Niemców.

Za ich pomocą przedostał się przez Hiszpanię do Anglii. Tam z wiedzą Anglików nadawała fałszywe informacje przez 26 miesięcy, które dezinformowały Niemców o wszystkich poczynaniach Sojuszników.

Jak wysoko cenili Niemcy " tą lipę" świadczy fakt, że jego meldunki trafiały w poł godziny po otrzymaniu do rąk samego Hitlera.

Między innymi podał, że lądowanie w Normandii jest lądowaniem pozornym, a właściwe nastąpi gdzie indziej za pare dni potem. Podawał też fałszywe dane gdzie spadają poszczególne rakiety V1 i V2 i dlatego większość ich spadał na polach za Londynem.

• Najbardziej nsa Północ położonym miejscem gdzie Polacy walczyli była miejscowość Narwik w Norwegii, gdzie Polska Brygada Podchalańska walczyła w ramach Angielsko-Francuskiego Korpusu Espedycyjnego. U wybrzeży Norwegii odbyły się też walki morskie gdzie brały udział okręty Polskiej Marynarki Wojennej.

Gdy niemieckiej marynarce - Krigs Marine - zabrakło paliwa zwrócili się o pomoc do... Stalina, który z Murmańska wysłał im tankowiec. " Niestety" lotnictwo brytyjskie go wymacało i nim mógł dostarczyć ropę Niemcom został zatopiony.

• Całą wojnę Polacy codziennie podawali Anglikom dane o pogodzie w Polsce. To umożliwiało im odczytywania stanu pogody w Niemczech i dawało dane potrzebne do bombardowań tego kraju.

Od początku 1941 roku wywiad AK informował Londyn o przesunięciu niemeickich wojsk z Niemiec nad Bug co wskazywało na przygotowanie do agresjii. W maju informowano o przesunięciu wojsk zmechanizowanych w tym kierunku co swiadczyło o ostatniej fazie przez inwazją. Te informacje Anglicy przekazali Ambasadzie Swoieckiej ale Stalin je zlekcewarzył.

• W czasie okupacji na potrzeby Armii Krajowej, której liczegność, poza siatkami konspiracyjnymi obicvza się na pinad 275 000 rozpoczęto wytwarzać kopie angielskich pistoletów maszynowych Sten.

Dla zmylenia Niemców kopie były absolutnie wierne i do końca wojny nie wiedzieli oni, że to nie zrzutowe angielskie pistolety.

• W powietrznej Bitwie o Anglię w czerwcu-lipcu 1940 roku piloci polskiego dywizjonu 303 zestrzelili ponad 10 % samolotów niemieckich. Gdyby ich zabrakło to bitwa ta byłaby prawdopodobnie przegrana i Niemcy mogliby dokonać londowania w Anglii

• Zmarły pare lat temu w Kanadzie Tadeusz Romer, Ambasador Polski prz Rządzie Sowieckim w latach 1942-43 opowiadał mi, że z polecenia Rządu RP na Uchodzctwie poinformował Stalina, że Armia Krajowa jest w stanie przeciąć na wniosek Sowietów, kiedykolwiek tego zechcą na 24 godziny wszystkie połączenia kolejowe Niemiec z frontem. Sowieci z tej oferty nie skorzystali.

• II Korpus gen Andersa zdobył ufortyfikowane wzgórza w koło góry Monte Casino.

Poprzednio przypuszczono tam trzy nieudane ataki, atakowali Amerykanie, Francuzi i Brytyjczycy głównie siłami dywizjii hinduskich. Wszyscy ponieśli bardzo wysokie straty i nie zdobyli tych wzgór blokujących drogę do Rzymu.

Potem Polacy w nagrodę za to zwycięstwo pierwsi wkroczyli do Rzymu. W walce o Monte Casino brało udział 600 Białorusinów i 258 Ukrainców przyczym 8 Ukraińców znanych z imienia i nazwiska zdezerterowało na stronę wroga, **ale nie zrobił tego ani jeden Białorusin.**

Po wojnie zbudowano wielki cmentarz pod Monte Casino, gdzie leży około 2 000 padłych tak żołnierzy, w tym też zmarły wiele lat potem gen Władysław Anders i biskup polowy WP Gawlina. Na wszystkich grobach są zaznaczone wyznania poległąych. Poza krzyżami katolickimi jest sporo krzyży prawosławnych i Gwiazd Dawida, oznaki obywateli polskich wyznania mojżeszowego.

W szeregach obrońców Monte Casino było wielu Polaków siłą wcielonych do Wermahtu, którzy poddali się i potem zasilili Armię gen Andersa.

• Szereg polskich konstrukcji było najlepszych na świecie. Do nich zaliczano też bombowce Sum, Szczególnie dobra była mała armatka przeciwpancerna 35mm. Jeden z jej egzemplarzy został w 1939 roku zchowany w jakiejś stodole. na Podkarpaciu

Była tak cenna, że Anglicy polecili polskiemu wywiadowi ją wydostać z okupowanej Polski i poprzez Węgry trafiła ona do Angli gdzie została skopiowana.

W operacji tej główną rolę odegrała Polka, Krystyna Skarbek, która w czasie wojny pracowała dla wywiadu brytyjskiego między innymi też we Francji.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze.

Proszę mi wybaczyć,ale spotkawszy dziś w kiosku Pański " Pryzmat" z herbem trzech bratnich sąsiednich narodów, że jest to " pismo polskie, nie tylko dla Polaków " wziąłem gazetę, przeczytałem ją od deski do deski i zrozumiałem, że jest czego już dawno szukam.

Postanowiłem prosić o możliwą znajomość i możność od czasu do czasu drukować to oczym ludzie wyrośli z potomków muszą wiedzieć i co przed nimi starannie wszystkimi siłami skrywa się, a oni są dezoriętowqani, nie wiedzą rękami jakich wandalów są rozruszane ich świątynie, domy,kto prześladował i gnębił uch ojców i dziadów.

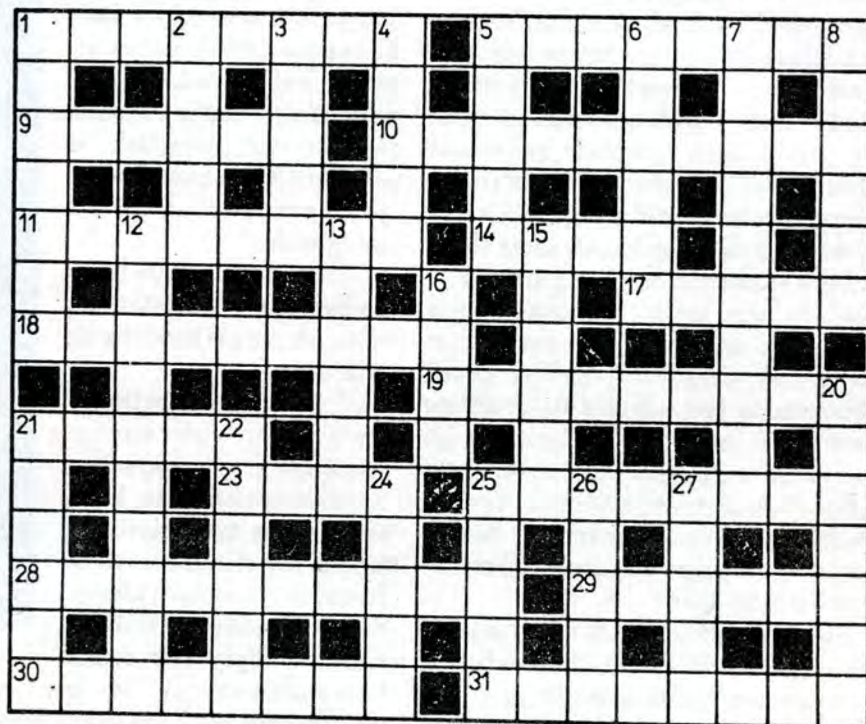
W Pińsku mieszkam od 1920 roku, tu się uczyłem, poszedłem do wojska. Jestem uczestnikiem wojny 1939 roku. Mieszkałem tu przy bolszewickiej i hitlerowskiej okupacji, powojenny okres. Dużo,ogromnie dużo widziałem, przeżyłem, pamiętam. Jest to Ojczyzna Kościuszki i jego Racławickich Kosynierów, Romualda Trauguta, Pińskiej Szlachty założonej tu w czasach 40-letnich rządów Królowej Bony. Pińskie Polesie, gdzie Pińsk jest jego stolicą, cześć i c hwała pamięci o Królowej Bonie.

Chcemy utworzyć Koło Potomków Pińskiej Szlachty, która to roku 1937 stanowiło na Ziemi Pińskiej, w powiatach: piński, łuniniecki,i stoliński około 35 000 ludności, zamieszkujących około 170 wsi i osad. Najstarsze wsie szlachceckie, z nad Stachodu, Piny i Prypeci jeszcze trzymają się starych szlacheckich tradycji. Mam nadzieję, że nasza współpraca da gazecie duży bogaty materiał dla czytelników na Białorusi.

Muszę także powiedzieć, że w Polsce jest tesz bardzo wielu Poleszuków, Pinczan i przedstawicieli Pińskiej Szlachty, a w jej szeregach znaczy się sto czternaście nazwisk, są nawet w dalekiej Australii.

Szanowny Redaktorze. Bardzo żałuję, że nie mam możliwości pojechać do Mińska.Moje 75 lat i trochę szwankujące zdrowie na to nie pozwala, ośmielam się jednak spodziewaać, że jakieś okoliczności nam jednak Pana przywiodą, różne są możliwości głównego redaktora, a między Pińskiem, a Mińskiem są przecież pociągi.

Mikołaj Poluchowicz - Pińsk



KONSERWA NIEZDROWO UTYŁA

Poziomo:

1) być nim u stóp ukochânejl
5) miasto twardych włosów.
9) swawole, które wyczynia pacholę.
10) zrobiły ręce i nic więcej.
11) stuprocentowe.
14) woda jak OB.
17) dziewczyna w malinach.
18) baba z piekła rodem.
19) ułatwia czytanie, gdy długie zdanie.
21) rozwodowy.
23) przy kominku grzeje dłonie.
25) sam zrobi melona.
28) jeszcze raz.
29) konserwa niezdrowo utyła.
30) przypomina o czytaniu.
31) jeden lubelski, dwa poznańskie.

Pionowo:

1) na ciasto.
2) pasuje do towarzystwa Ady, Anny i Ottona.
3) do rodziny Jaś przybywa, a tu ...
4) wysiadają w mieszkaniu.
5) mleczne lub wodne.
6) zanudzi ludzi.
7) uszlachetnia, ale nie spodziewaj się szlachectwa.
8) od jaj.
12) małżeństwo kropki z kreską.
13) tomik w dobrobycie.
15) zgrana.
16) drania — do posmarowania.
20) kolejny na karku.
21) jagody do zupy.
22) wesoła.
24) więcej 26.
25) malowanie na ścianie.
26) mówią nań, że drań.
27) idzie od okna.

Nr 2

Stanisław Bisko

Pryzmat

Polsko-Białoruski pismo prywatne

Alexandra Pruszyńskiego

nakład 990 - korespondenci:

St Dąbrowski- Buffalo USA, J. Osuchowski Nowy Jork

Krzysztof Biernacki - Warszawa, T Konarski - Kraków

adres redakcji :

Mińsk 22 00 12- skrytka pocztowa nr 125

złożono i wydrukowano w Mińsku na Białorusi

Printed in Minsk- Republic of Byelorus